

Amos Oz nagle w głębi lasu

z hebrajskiego przełożył
Leszek Kwiatkowski



DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ 2006



1.

Pani Emanuela tłumaczyła klasie, jak wygląda niedźwiedź, jak oddychają ryby i jakie odgłosy wydaje nocą hiena. Dzieci przeważnie się z niej podśmiewały, bo nigdy nie widziały żadnego zwierzęcia. Wiele z nich nie dowierzało, że takie stworzenia w ogóle istnieją. A już na pewno nie w naszej okolicy. Poza tym – mówiły – nasza nauczycielka nie znalazła w całej wiosce nikogo, kto by chciał zostać jej mężem, i właśnie dlatego – twierdziły – w jej głowie roi się od lisów, wróbli i rozmaitych niestworzonych hi storii, jakie wymyślają sobie z samotności ludzie, którzy nie mają męża albo żony.

Tylko małemu Nimiemu zaczęły pod wpływem słów pani Emanuli śnić się po nocach zwierzęta. Prawie cała klasa śmiała się z niego, kiedy przychodził rano i natychmiast opowiadał, jak to jego brązowe buty, stawiane wieczorem koło łóżka, zmieniły się w ciemności w dwa jeże i całą noc dreptały po pokoju. Jednak rankiem, kiedy otworzył oczy, nagle stały się na powrót parą ustawionych pod łóżkiem zwyczajnych butów.



Innym razem w samym środku nocy przybyły do niego czarne nietoperze i wzięwszy go na skrzydła, przeleciały z nim przez ściany domu, przecięły niebo nad wioską i pofrunęły ponad górami i lasami, aż zaniósły go do jakiegoś czarodziejskiego pałacu.

Nimi był dość roztargnionym chłopcem i prawie zawsze miał katar. W dodatku jego wystające przednie zęby rozdzielała szeroka szczerba. Szczerbę tę dzieci nazywały „śmietnikiem”.

Każdego ranka Nimi przychodził do klasy i zaczynał opowiadać wszystkim swój kolejny sen, co rano też wszyscy mówili mu: „Dość już, nie nudź, zamknij wreszcie ten swój śmietnik!” A kiedy nie przestawał, dokuczali mu. Nimi wszakże, zamiast się obrażać, przyłączał się do drwin. Wciągał i połykał to, co ciekło mu z nosa, a przy tym z nieopisaną radością zaczynał, ni stąd, ni zowąd, powtarzać głośno obelżywe przezwiska, jakie nadawały mu dzieci: „śmietnik”, „marzyciel”, „jeżowy but”.

Córka Lilii Piekarki, Maja, która siedziała w klasie tuż za nim, kilkakrotnie zwracała mu szeptem uwagę:

– Nimi, posłuchaj. Możesz marzyć, o czym chcesz: o zwierzętach, o dziewczynach, tylko lepiej nic nie mów. Nie opowiadaj o tym. Po prostu nie warto.

Mati mówił wtedy do Mai:

– Ty nic nie rozumiesz. Przecież Nimi właśnie po to ma te swoje sny, żeby nam je potem opowiadać. A w ogóle, to on nie przestaje śnić nawet na jawie.

Wszystko bawiło Nimiego i sprawiało mu radość: wyszczerbiony kubek w kuchni i pełnia księżyca na niebie, korale pani



Emanueli i własne wystające zęby, guziki, które zapominał pozapinać, i wycie wiatru w lesie. Wszystko, co jest, i wszystko, co się dzieje, wydawało się Nimiemu zabawne. Wszystko stanowiło wystarczający powód, by wybuchnąć śmiechem.

Aż pewnego razu uciekł ze szkoły i z wioski i powędrował samotnie w góry, do lasu. Przez dwa, trzy dni szukała go większość mieszkańców. Jeszcze tydzień czy dziesięć dni szukali go strażnicy. Potem szukali go już tylko rodzice i siostra.

Po trzech tygodniach wrócił. Był wychudzony, umorusany, cały w zadrapaniach i siniakach, ale śmiał się w głos i krzyczał z podniecenia i radości. Odtąd mały Nimi ciągle się śmiał, wprost rżał jak żrebak, tak że przestał nawet mówić: odkąd wrócił z lasu, nie wypowiedział ani słowa, kręcił się tylko bosy, obdarty i zasmarkany po uliczkach wioski, szczyrzył zęby, odsłaniając wielką szczerbę, biegał po podwórkach za domami, wdrapywał się na drzewa i słupy i ciągle rżał, a prawe oko nieustannie miał zażawione od uczulenia.

Do szkoły nijak nie było można go posłać – to przez jego chorobę, rżycę. Dzieci wracające z lekcji specjalnie przedrzeżniały Nimiego, żeby go sprowokować do rżenia. Przeżywały go Nimi Żrebak.

Lekarz miał nadzieję, że z czasem mu przejdzie: być może tam, w lesie, natknął się na coś, co go przeraziło, przeżył wstrząs i dlatego zapadł na rżycę.

Maja powiedziała do Matiego:

- Może powinniśmy coś zrobić? Spróbować mu pomóc?
- Daj spokój, Maju – odpowiedział Mati. – Wkrótce im się sprzykrzy. Niedługo o nim zapomną.



Kiedy dzieci drwiły z małego Nimiego, rzucając szyszkami i łupinami, żeby go odpędzić, ten uciekał z głośnym rżeniem. Wspinał się wysoko między gałęzie najbliższego drzewa i stamtąd, z jego korony, znów rżał na dzieci, z jednym kaprawym okiem i wyszczerzonymi przerośniętymi zębami.

Niekiedy mieszkańcom wioski nawet w środku nocy zdawało się, że gdzieś z oddali dochodzi echo jego rżenia.



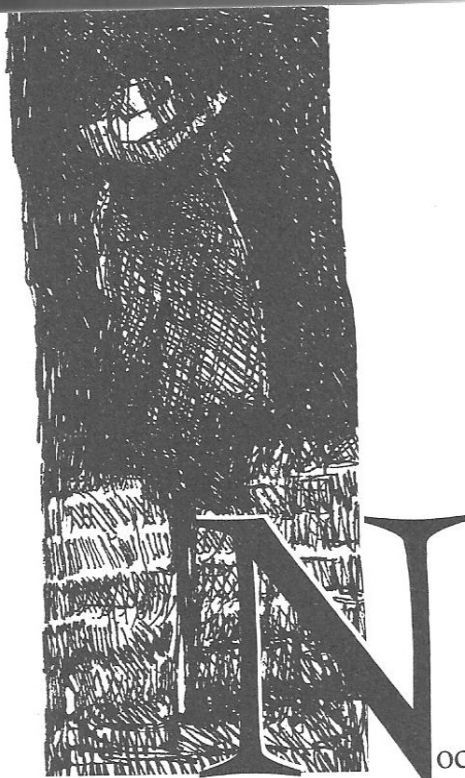
2.

Wioska była szara i smętna. Dookoła tylko góry i lasy, chmury i wiatr. Innych osad w okolicy nie było. Prawie nigdy nie przybywali do niej goście ani nie nawiedzali jej przygodni wędrowcy; trzydzieści, czterdzieści domków rozsianych po stoku zamkniętej doliny, wokół której wznosiły się strome góry. Tylko na zachodzie znajdowała się wąska przełęcz, a przez nią wiodła jedyna droga do wioski. Dalej jednak już się nie ciągnęła, bo nic już dalej nie było. Tutaj kończył się świat.

Z rzadka zjawiał się w wiosce jakiś wędrowny rzemieślnik albo drobny handlarz, a czasami po prostu zbłąkany żebrak. Żaden wszakże z wędrowców nie zabawił tu dłużej niż dwie noce, nad wioską bowiem ciążyło przekleństwo: zawsze panowała w niej przedziwna, głucha cisza. Nie muczała tu krowa, nie rżał osioł, nie świergotał ptak, pustego nieba nie przecinał klucz dzikich gęsi, a i mieszkańcy rozmawiali ze sobą niewiele – tylko wtedy, kiedy to było naprawdę konieczne. Zawsze,



czy to dniem, czy nocą, słysząc tu było jedynie szmer potoku wypływającego z górskich lasów. Ów strumyk przecinał wioskę smugą białej piany, kipiał i bulgotał, wydając pomruk podobny do cichego stękania, a wreszcie oddalał się i chował z powrotem w zakamarkach dolin i lasów.



Nocami cisza stawała się jeszcze czarniejsza i gęstsza niż za dnia – żaden pies nie wył do księżyca, wyciągając szyję i kładąc po sobie uszy, żaden lis nie skomlał w lesie, nie hukał nocny ptak, świerszcz nie cykał, nie rechotała żaba ani kogut nie piał o świcie. Wiele już lat upłynęło, odkąd zniknęły z wioski i jej okolic wszelkie zwierzęta: krowy, konie i owce, gęsi, koty i śpiewające ptaki, psy, domowe pająki i króliki. Nie było tu bodaj małego szczygła. Nie została się choćby jedna rybka w strumyku. Bociany i żurawie omijały wąską dolinę w swoich wędrówkach. Od lat nie widziano tu też najmniejszych żyjatek, płazów, a nawet pszczoł, much albo mrówek, robaków, komarów ani ciem. Dorośli, którzy jeszcze je pamiętali, przeważnie woleli milczeć. Zaprzeczać. Udawać, że zapomnieli.

Przed laty żyło w wiosce siedmiu myśliwych i czterech rybaków. Kiedy jednak zabrakło ryb w potoku, kiedy wszystkie



dzikie zwierzęta wywędrowały w siną dal, tak rybacy, jak i myśliwi powędrowali w strony nie dotknięte przekleństwem. Tylko jeden z rybaków, Almon, człek stary i stroniący od ludzi, pozostał w wiosce. Mieszkał w chatce nad potokiem i miał w zwyczaju wygłaszać do siebie długie, pełne oburzenia mowy, gotując równocześnie zupę ziemniaczaną. Do dzisiaj ludzie z wioski mówią o nim Almon Rybak, chociaż dawno już stał się rolnikiem; w ciągu dnia Almon uprawia rozmaite warzywa na skopanych grządkach, a do tego pielęgnuje dwadzieścia, trzydzieści drzew owocowych na zboczu pagórka.

Ustawił nawet pomiędzy grządkami niedużego stracha na wróble, wierząc, że być może pewnej nocy, jeszcze za jego życia, powrócą tu wszystkie ptaki, a wraz z nimi inne zwierzęta, które zniknęły. Również z tym strachem na wróble Almon spierał się czasami długo i zawzięcie, prosił go, błagał i napominał, aż wreszcie zniechęcony odchodził, by już po chwili wrócić, przynosząc stare krzesło. Siadał na nim przed strachem i z niewyczerpaną cierpliwością usiłował go przekonać albo choćby odrobinę zmienić jego sztywne zapatrywania.

Pod wieczór w pogodne dni Almon Rybak siadał na swoim krześle nad brzegiem potoku, zakładał stare okulary, które zjeżdżały mu po nosie w stronę gęstego, siwego wąsa, i czytał książki. Albo siedział, zapisując i skreślając linijkę po linijce w swoim zeszycie, przy czym mamrotał pod nosem, wysuwał różne zarzuty, opinie i argumenty. Z biegiem lat nauczył się też rzeźbić w drewnie i nocami, przy świetle lampy, wykonywał mnóstwo przepięknych figurek zwierząt, ptaków, a nawet nieznanych istot, które rodziły się w jego wyobraźni albo pojawiały w sennych rojeniach. Te figurki z drewna roz-



dawał Almon dzieciom z wioski; Mati dostał od niego kotkę wykonaną z szyszki, z małymi kociętami z kory orzechowca. Dla Nimiego Rybak wyrzeźbił wiewiórkę, dla Mai zaś dwa żurawie o wyciągniętych szyjach i rozpostartych skrzydłach, jak gdyby wzbijały się do lotu.

Jedynie za sprawą tych figurek oraz rysunków pani Emanueli na tablicy dzieci wiedziały, jak wygląda pies, kot, motyl, ryba, pisklę, kózka czy cielę. Pani Emanuela nauczyła też kilkoro dzieci z klasy naśladować odgłosy zwierząt – dźwięki, które dorośli mieszkańcy z pewnością pamiętali z dzieciństwa, sprzed zniknięcia zwierząt, lecz których dzieci nigdy nie słyszały. Maja i Mati niemal już wiedzieli coś, czego wiedzieć im nie było wolno. I oboje bardzo starali się nie dać nikomu powodu do podejrzeń, że coś mogą wiedzieć – albo że już prawie wiedzą. Czasami spotykali się po kryjomu za porzuconą stodołą, siadali tam i rozmawiali szeptem około kwadransa, po czym odchodzili różnymi drogami. Wśród wszystkich dorosłych w wiosce był tylko jeden, któremu mogliby zaufać. Mati i Maja kilkakrotnie omal nie postanowili, że podzielą się swoim sekretem z Danirem Dekarzem. Niekiedy pod wieczór na wiejskim placu żartował on sobie głośno w gronie kolegów z rzeczy, o których nie wolno było dzieciom usłyszeć. A kilka razy, gdy napił się z kolegami wina, powiedział nawet w żartach o koniu, kozie i psie, które zamierza tu sprowadzić z jednej z wiosek w dolinie.

Co się stanie, jeśli wyjawią swoją tajemnicę Danirowi Dekarzowi? Albo pójdą z tym choćby do starego Almona? I co, jeśli któregoś dnia odważą się zapuścić w mroczny las, aby przekonać się, czy za tym ich sekretem kryje się choć odrobi-



na prawdy, czy też są to wyłącznie złudzenia, mrzonki, jakie pasowałyby, być może, do Nimiego Żrebaka, ale nie do nich?

Tymczasem więc czekali, sami właściwie nie wiedząc na co. Pewnego razu, pod wieczór, Mati zebrał się na odwagę i spytał ojca, dlaczego z wioski zniknęły zwierzęta. Ojciec nie kwapił się z odpowiedzią. Wstał z kuchennej ławy, dłuższą chwilę chodził od ściany do ściany, po czym zatrzymał się i ujął Matiego za ramiona. Jednakże zamiast na chłopca oczy ojca powędrowały w stronę ciemnej plamy na ścianie, ponad drzwiami, z której od wilgotnego zacieku odpadło trochę tynku.

– Posłuchaj, Mati. Kiedyś działały się tutaj różne rzeczy. Rzeczy, które nie są dla nas powodem do dumy. Ale nie wszyscy ponoszą za to winę. W każdym razie na pewno nie wszyscy jesteśmy winni w jednakowym stopniu. Poza tym, kim ty właściwie jesteś, żebyś miał nas osądzać? Jesteś jeszcze mały. Nie osądzaj. Nie masz prawa osądzać dorosłych. A w ogóle, kto ci powiedział, że kiedykolwiek były tu zwierzęta? Może i były. A może wcale ich nie było. Przecież upłynęło bardzo wiele czasu. Zapomnieliśmy już, Mati. Zapomnieliśmy, i kwita. Daj temu spokój. Kto ma jeszcze siły, żeby o tym pamiętać? Teraz zejdź do piwnicy, przynieś trochę ziemniaków i przestań wreszcie bez przerwy paplać. – Naraz ojciec Matiego wstał i kierując się do wyjścia, powiedział: – Słuchaj, może umówimy się, tak między nami, że tej rozmowy nie było? Że w ogóle o tym nie mówiliśmy?

Inni rodzice przeważnie woleli zaprzeczać. Albo najlepiej zbywać ten temat milczeniem. Wcale go nie poruszać. Zwłaszcza przy dzieciach.





4.

Lycie w wiosce płynęło cicho i smutno. Jej mieszkańcy, mężczyźni i kobiety, wychodzili codziennie do pracy w polu, w winnicach i ogrodach, a pod wieczór wracali zmęczeni do swych domków. Dzieci co rano szły do szkoły. Popołudniami bawiły się na pustych podwórkach, snuły wśród opuszczonych obór i kurników, wdrapywały do opustoszałych gołębników albo między gałęzie drzew, na których żaden ptak nie zakładał gniazda.

Każdego dnia przed zapadnięciem wieczoru, jeśli tylko nie padał deszcz, krawcowa Solina wyprowadzała swojego męża kalekę na spacer po uliczkach wioski. Ginom z biegiem lat skurczył się do tego stopnia, że mogła bez trudu ułożyć go w starym wózku dziecięcym, i tak woziła go nad brzeg strumyka i z powrotem.

Przez całą drogę Ginom, owinięty w powijaki, wydawał odgłosy podobne do cienkiego, płaczliwego meczenia, ponieważ stracił pamięć i uważał się za kozłatko. Solina pochylała się nad



nim i śpiewała mu swoim matowym, ciepłym głosem: „Sza, sza, śpij, sierotko. Sza, sza, śpij, Ginomie, sza, sza, śpij”.

Czasami przebiegał koło nich, sapiąc i dysząc, mały Nimi o skudlonych i brudnych włosach, w postrzępionym ubraniu, z zasmarkanym nosem i załzawionym okiem, machał z daleka ręką i rżał na nich dwa, trzy razy, przeciągle i dziko. Kaleki mężczyzna natychmiast przestawał meczeć, uśmiechał się słodko jak niemowlę i odwracał głowę, nasłuchując.

Solina jedną ręką łagodnie gładziła męża po głowie, na której ostało się jeszcze nieco wiotkich siwych włosów, gdy tymczasem drugą nie przestawała popychać w dół ścieżki dziecięcego wózka przy wtórze piszczących kółek.

Niekiedy w długie letnie wieczory Danir Dekarz, który trudnił się układaniem i naprawianiem dachów, siadał wraz z dwoma swoimi pomocnikami na kamiennym murku pośrodku wiejskiego placu, żeby odpocząć po przepracowanym dniu. Popijali wtedy piwo ze szklanek o grubych ściankach i czasami zaczynali śpiewać. Z krańców wioski ściągali inni młodzi mężczyźni i kobiety, zbierali się na wyłożonym kamieniem placu i albo przyłączali się do śpiewu, albo urządzali gry i zabawy zręcznościowe, albo dyskutowali lub szeptali o czymś. Raz po raz wybuchali przy tym śmiechem. Dzieci zakradały się, żeby ich posłuchać i popatrzeć na nich zza płotu, ponieważ młodzi ludzie rozmawiali tam, a nawet żartowali o rzeczach, o których w żadnym wypadku nie powinny słyszeć. Na przykład, o innych wsiach, położonych daleko, hen w dolinie, albo o tym, jak wygląda życie miłosne królików i jak brzmi godowe miauczenie kotów w czasie rui. Danir Dekarz czasem gruchnął tam tubalnym, ochryplym śmiechem niby lawina kamieni i ni stąd, ni



zowąd zaklinał się, że pewnego dnia, już wkrótce, za tydzień, za miesiąc, weźmie pomocników i wyruszą w dół, w dalekie doliny, a wrócą stamtąd nie pieszo, lecz sznurem furmanek zaprzężonych w konie i obładowanych setką gatunków ptactwa, czworonogów, ryb i owadów, i tak przejeżdżając od domu do domu, będą wypuszczali zwierzęta przy każdej chacie i zagrodzie, a do potoku wrzucą żywe ryby. I znów będzie tutaj tak, jak przed tamtą przekłętą nocą, i po krzyku. Słyszając takie opowieści, towarzystwo milkło w osłupieniu. Słowa Danira nikogo nie bawiły, lecz nagle jakby okrywały cieniem cały plac.

Te wieczorne spotkania, podczas których grono przyjaciół gromadziło się wokół Danira Dekarza na placu wyłożonym starymi kamiennymi płytami, stanowiły właściwie jedyne radosne chwile w życiu wioski. Albowiem wkrótce po zachodzie słońca wszyscy rozchodzili się pośpiesznie do domów. W jednej chwili plac pustoszał i zostawał na nim tylko cień.

Później, z zapadnięciem zmroku, zamykały się wszystkie chaty, drzwi ryglowano żelaznymi sztabami, a okna zakrywały szczelnie żelazne okiennice. Po zmroku nikt nie ruszał się z domu. Światła w oknach gasły jedno po drugim już o dziesiątej wieczorem. Tylko z chatki Almona Rybaka na skraju wioski sączyła się czasami poświata ustawionej na stole lampy. O północy i w jego oknie robiło się ciemno.

Mrok i cisza wypełzały z głębi lasu i kładły się ciężko na pozamykanych domach i wyludnionych ogrodach. Plamy rozdręganego cienia wylegały na wiejskie uliczki. Niekiedy tylko od strony góry zawiewał chłodny wiatr, który szumiał w gałęziach drzew i wśród zarośli. Potok burzył się całą noc, spływając po stoku, a swoją pianą i pluskiem przecinał ciemność.





N

5.

nocami bowiem wioskę przepełniał wielki strach. W nocy cały świat należał do górskiego demona Nehiego. Co noc – tak niektórzy z rodziców, zamknięci za żelaznymi okiennicami, opowiadali szeptem swoim dzieciom – co noc górski demon Nehi schodzi ze swojego czarnego zamku za górami, za lasami i przechadza się pośród domów jak zły duch, tropi oznaki życia i jeśli przypadkiem znajdzie zabłąkanego pasikonika albo pojedynczego świetlika, który przyfrunął tu z oddali, niesiony zimowym wiatrem, a choćby i żuczka albo mrówkę, rozkłada połę swojego ciemnego płaszcza, by uwięzić w nim wszelką żywą istotę. A zanim wzejdzie słońce, wzbija się w powietrze i szybuje do swojego potwornego zamczyska za najdalszymi lasami, w wysokich górach wiecznie spowitych chmurami. Tak opowiadali szeptem rodzice swoim dzieciom, ale potem zaraz uspokajali je, mówiąc już innym głosem, że tak naprawdę to tylko bajki. Mimo wszystko jednak żaden z mieszkańców wioski nie wychodził z domu po zmroku.



Ciemność bowiem – mówili rodzice – ciemność roi się od spraw, z którymi lepiej w ogóle nie mieć do czynienia.

Maja, jedyna córka wdowy Lili Piekarki, była upartą dziewczynką i ani myślała słuchać takich opowieści czy wierzyć w rzeczy, których nikt nie widział. Nieraz odzywała się zuchwale do mamy, a wszystkie mroczne historie, które ta jej opowiadała, nazywała czczą gadaniną i bredniami. Niekiedy mówiła:

– Cała ta wioska jest niespełna rozumu, a ty, mammo, nawet bardziej niż wszyscy inni.

Lilia odparła jej kiedyś:

– Może to i lepiej, że tak uważasz. Chyba naprawdę dawno opanowało tu nas jakieś szaleństwo. A co do ciebie, Maju, lepiej, żebyś po prostu nic o tym nie wiedziała. Nic a nic. Bo kto nic nie wie, tego nie można winić. Ktoś taki nie może się też zarazić.

– Zarazić się czym, mammo?

– Czymś niedobrym, Maju. Czymś bardzo niedobrym. Wystarczy. Może widziałas tu gdzieś przypadkiem moją chustę, tę brązową? I kiedy wreszcie przestaniesz gryzmolić po ceracie? Przecież tysiąc razy cię już prosiłam, żebyś przestała, więc przestań. Koniec, kropka.

Pewnej nocy Maja odczekała cierpliwie pod ciepłą zimową pierzyną, aż mama zaśnie. A kiedy zasnęła, Maja wstała i podeszła do okna, nie zapalając światła. Stała tak prawie do rana, opatulona swoją pierzyną, lecz nie zobaczyła na dworze żadnej przechodzącej postaci ani nie usłyszała żadnego dźwięku. Raz tylko zdawało jej się, że słyszy trzy ulice dalej



smętne rzenie Nimiego Żrebaka, który stał się bezdomnym dzieckiem i włóczył się po całej wsi, a wszystkie drzwi były dla niego zamknięte, ponieważ cierpiał na rżycę. Jednak zaraz ucichło. W świetle księżyca, którego sierp od czasu do czasu wyłaniał się zza chmur, Maja zobaczyła wyraźnie kępę czarnych drzew stłoczonych po drugiej stronie uliczki, za starym, rozwalonym domem.

A ponieważ noc była głucha i bardzo długa, Maja poczekała, aż księżyc ukaże się na chwilę między jedną chmurą a drugą, i doliczyła się tam ośmiu drzew. Po godzinie albo dwóch, kiedy księżyc znów się pokazał, policzyła je ponownie, lecz tym razem wyszło jej dziewięć. Korzystając z następnej okazji, policzyła je raz jeszcze i nadal było ich tam dziewięć. Rankiem jednak, gdy zbocza gór zaczęły blednąć za pierwszym dotknięciem palców porannej zorzy, Maja postanowiła policzyć te drzewa kolejny, ostatni już raz, i oto niespodziewanie znów było ich tylko osiem.

Tyle samo wyszło jej również nazajutrz, w świetle dnia, gdy postanowiła podejść do ruin domu i zbadać rzecz z bliska: dokładnie osiem drzew. Dla pewności Maja przeszła od drzewa do drzewa, dotykając konarów każdego z nich, i liczyła je szeptem, dwukrotnie, od jednego do ośmiu. Żadnego dziewiątego drzewa tam nie było. Czyżby w środku nocy się pomyliła? Z powodu ciemności?

Maja nawet słowem nie wspomniała o dziewiątym drzewie ani mamie, wdowie Lilii Piekarce, ani koleżankom, ani nauczycielce, pani Emanueli. Podzieliła się tym jedynie z Matim, ponieważ on z kolei wtajemniczył ją w plan, z jakim nosił się



już od kilku miesięcy. Mati wysłuchał opowieści Mai o dziwnym drzewie, zadumał się na chwilę – nie śpieszył się z odpowiedzią – aż wreszcie przerwał milczenie i powiedział jej, że którejś z nadchodzących nocy on też będzie czuwał i poczeka cierpliwie, aż jego rodzice i siostry zasną, a wtedy wstanie, wymknie się na dwór i zakradnie w pobliże kępy drzew za ruinami. Tam będzie stał przez resztę nocy i nie zdrzemnie się nawet na chwilę. Nie będzie spuszczał ich z oka, policzy je i sprawdzi, czy rzeczywiście, kiedy panuje najgłębsza ciemność, wyrasta tam coś jeszcze, drzewo albo i nie drzewo, coś, co znika i rozplywa się w powietrzu tuż przed brzaskiem.



6.

Wszystko zaczęło się wiele lat wcześniej, nim jeszcze dzieci z wioski przyszły na świat, w czasach, kiedy nawet ich rodzice byli dopiero dziećmi. Niespodziewanie, pewnej słotnej zimowej nocy, z wioski zniknęły wszystkie zwierzęta – bydło, ptaki, ryby, wszelkie małe żyjątka i gady – a nazajutrz pozostali w niej sami mieszkańcy, dorośli i ich dzieci. Emanuela, wówczas dziesięcioletnia dziewczynka, całymi tygodniami płakała z tęsknoty za swoją cętkowaną kotką Timą, która urodziła troje małych: dwoje nakrapianych, jak ona sama, i jedno żółtawe, niesforne, które lubiło chować się w bucie, udając niewielką, zwiniętą w kłębek skarpetkę. Tej strasznej nocy kotka zniknęła razem z młodymi, zostawiając po sobie pustą wyściełaną szufladę na buty, na dole szafy z ubraniami. Następnego ranka Emanuela zastała w tej szufladzie tylko mały kłębek kociej sierści, dwa wąsiki i słodko-kwaskowy zapach ciepłych, chłepczących mleko kociąt. Wśród mieszkańców wioski było kilku staruszków, którzy



mogliby przysiąc, że widzieli w szczelinach okiennic, jak przez wieś przechodzi cień demona Nehiego, prowadząc za sobą w ciemności długi, bardzo długi orszak cieni. Do tej karawany przyłączały się zwierzęta z każdego podwórka, z każdego kurnika i gołębnika, z każdej owczarni, zagrody, stajni, budy i obory, wielki tłum cieni dużych i małych, a las pochłonał je wszystkie i do rana wioska opustoszała. Nazajutrz zostali w niej jedynie mieszkańcy.

Jeszcze przez wiele dni ludzie starali się nie patrzeć sobie w oczy. Z podejrzliwości. Albo ze zdumienia. Albo wstydu. Odtąd aż do dziś większość z nich woli unikać rozmowy na ten temat. Czasami nawet nie mogą sobie przypomnieć, dlaczego wolą o tym nie pamiętać. A jednak wszyscy dobrze pamiętają, w milczeniu, że lepiej byłoby im zapomnieć. Odczuwają potrzebę, by wszystkiemu zaprzeczać, zaprzeczać nawet swojemu milczeniu, i drwić z każdego, kto mimo to pamięta – żeby zamilkł. Żeby nic nie mówił.

Krawcowa Solina, która przedtem była pasterką i hodowała drób, straciła tamtej nocy stado kóz, wszystkie kury z kurnika, stado kaczek i śpiewające ptaki, które trzymała w klatce. Następnego dnia zniknął jej mąż, kowal Ginom, i dopiero po tygodniu znaleziono go dygoczącego z zimna w lesie, bo chyba zebrał się na odwagę i wyruszył tam w poszukiwaniu swojego stada kóz i ptaków, które zginęły z zagrody. Kiedy Solina i starszyzna wioski wypytywali go, próbując się dowiedzieć, co zobaczył, nie zdołali wyciągnąć z niego nic prócz lamentu i zawodzenia. Tak właśnie Ginom począł tracić pamięć, a potem jego ciało zaczęło się kurczyć, więdnąć, aż zapadł się w sobie tak bardzo, że można go było położyć w starym



dziecięcym wózku, i sam we własnym przekonaniu zmienił się w baranka. Albo koziołka.

Stary Almon Rybak już przed wieloma laty zanotował w swoim zeszycie szczegółowy opis tamtej nocy. W tym jego zeszycie jest między innymi napisane, że ostatniego wieczoru, na krótko przed zmierzchem, zszedł nad rzekę i wyciągnął swoją sieć, w której znalazł dziewięć żywych ryb. Postanowił zostawić je przed progiem, w balii napełnionej wodą, żeby sprzedać je następnego dnia. I oto rano, kiedy wstał, w balii nadal było pełno wody, ale ani jednej ryby.

Tej samej nocy przepadł też na zawsze Zito, wierny towarzysz Almona – serdecznie usposobiony, ale przy tym zdyscyplinowany jak zegarek, spokojny psiak z jednym uchem brązowo-białym, a drugim całym brązowym. Gdy ze wszystkich sił próbował się skupić, aby zrozumieć, co się przed nim dzieje, ów pies umiał nastawiać uszy do przodu i przytykać końcami jedno do drugiego. Kiedy tak składał uszy, wyglądał bardzo poważnie, a nawet mądrze, jak ktoś głęboko zamyślony. Chwilami przypominał wręcz pilnego badacza, który skupia się, wytęży umysł i jest już o krok od rozwikłania którejś z tajemnic nauki.

Zito, pies Almona Rybaka, potrafił niekiedy czytać w myślach swojego pana. Umiał je odgadywać, zanim jeszcze zrodziły się w jego głowie. Leżał przy piecu, aż naraź podnosił się, przechodził przez izbę i z całym zdecydowaniem zatrzymywał się przed drzwiami, niecałe pół minuty przed tym, jak Almon spojrzał na ścienny zegar i stwierdził, że pora udać się nad potok. Potrafił też Zito wdrapać się na Almona i polizać go swoim ciepłym językiem, z miłością i współczuciem, żeby odegnać



od niego jakąś smutną myśl, która za minutę lub dwie miała zaprzątnąć jego głowę.

Przez wszystkie lata, które upłynęły od tamtej nocy, stary rybak nie mógł się pogodzić ze zniknięciem psa – przecież łączyła ich przyjaźń pełna łagodności, troski i zaufania. Czy możliwe, żeby pies zapomniał nagle o swoim panu? A może stało mu się coś złego? Gdyby Zito pozostał przy życiu, bez wątplenia uwolniłby się, uciekł od swojego porywacza i znalazł drogę do domu. Czasami zdawało się Almonowi, że hen, gdzieś z bardzo daleka, z głębi leśnych ostępów, dobiega go stłumione echo cienkiego skowytu, które go przywołuje: „Chodź, chodź ty także, nie bój się”.

Prócz Zita zniknęła owej nocy również para szczygiełków, które śpiewały Almonowi Rybakowi z gniazdka uwitego na gałęzi, stukającej o jego okno przy najlżejszym powiewie wiatru. Zniknęły też korniki, które spędzały mu sen z powiek nieustannym cichym chrupaniem, kiedy niestrudzenie drążyły swoje tunele w ściankach starych mebli. Nawet te robaczki zamilkły raz na zawsze po tamtej nocy.

Przez długie lata rybak zasypiał przy wtórze uporczywego chrobotu, jaki w ciemności wydawały te stworzenia ukryte we wnętrzu mebli, toteż od owej nocy trudno było Almonowi zasnąć – jak gdyby głębia tej ciszy drwiła sobie z niego wśród mroku. Tak więc Almon Rybak siada co wieczór przy kuchennym stole i tkwiąc tam aż do północy, wspomina, jak to dawnymi czasy, mniej więcej o tej porze, płynęło z głębi lasu żalosne skamlanie lisów, a po całej wsi psy odpowiadały im gniewnym ujadaniem, które w końcu też przechodziło w skowyt. W takich chwilach ukochany pies składał na jego kola-



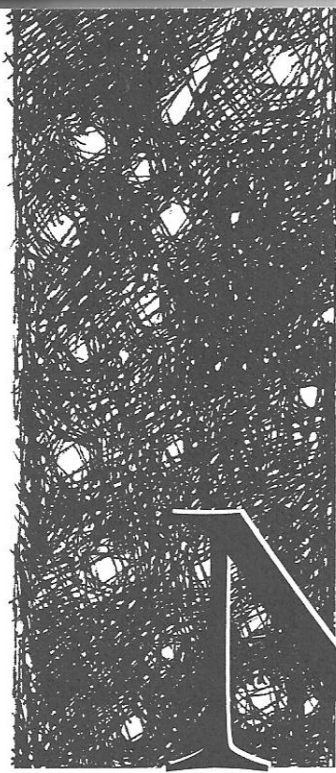
nach ciepły łeb, podnosił ślepia na swojego pana i patrzył na niego głębokim, mądrym wzrokiem, promieniującym jakimś cichym blaskiem, pełnym współczucia, miłości i smutku, aż wreszcie Almon mówił do niego: „Dziękuję ci, Zito. Wystarczy. Już mi prawie przeszło”.

Tak Almon siedział, oddając się rozmyślaniom w głuchej nocnej ciszy, tęsknił za szczygłami i rybami ze strumienia, a nawet za kornikami, robił zapiski, skreślał, a czasem dobiegał go cienki głos małego Nimiego, który ganiał samotnie w ciemności między podwórkami i rżał, jego rzenie zaś przypominało z daleka skowyt psa. W takich chwilach Almon Rybak obruszał się na swój ołówek, spierał się na głos z piecem albo kartkował z szelestem swój zeszyt, próbując zagłuszyć wrzenie nocy i szum potoku.

W swoim zeszycie Almon napisał między innymi, że bez tych wszystkich żywych istot nawet najpogodniejsze letnie noce sprawiają wrażenie, jakby spowijała je gęsta mgła, która opada na wszystko, niemal przygniatając swoim ciężarem i wioskę, i jego serce, i las. „Opary letnich nocy – tak napisał w swoim zeszycie – nie są lekkie i puszyste jak zimowa mgiełka, która zamarza, zmieniając się w szron. Są zakurzone, brudne i przygnębiające”.

Od tamtej nocy, kiedy demon Nehi zabrał wszystkie zwierzęta i zaprowadził je do swojej kryjówki na górze, mieszkańcy wioski żyją w głębokiej ciszy i strachu, pielęgnując swoje drzewa owocowe. Bez choćby jednego zwierzęcia w zagrodzie. Sami. Tylko potok wciąż tędy płynie, niosąc kamyki, odłamane gałązki, grudki błota. Nie odpoczywając ani za dnia, ani nocą, czy to zimą, czy latem.





7.

a obrzeża lasu zapuszczali się niekiedy dzielni drwale, a także Danir Dekarz ze swoimi pomocnikami, lecz nawet oni nie mieli odwagi wejść głębiej inaczej niż we trzech albo czterech, i to zawsze w świetle dnia.

„Nigdy, przenigdy, i w żadnym, ale to naprawdę w żadnym wypadku – mówili dzieciom rodzice – nie ważcie się wychodzić za próg po zmroku”. A jeśli któreś z dzieci spytało dlaczego, przybierali surową minę i odpowiadali: „Dlatego, że noc jest bardzo groźna. Ciemność to nasz zajadły wróg”.

O tym jednak wiedziało każde dziecko.

Zdarzało się, że w świetle brzasku drwale natrafiali na nadłamane gałązki albo zdeptaną trawę. Spoglądali wtedy po sobie, nie zamieniając słowa. Wiedzieli, że po zmroku Nehi, górski demon, schodzi ze swojego zamczyska wysoko w górach i snuje się po okalających wioskę lasach, a o północy jego cień przelatuje wzdłuż potoku, maca palcami ogrodzenia sadów, przesuwa się bezszelestnie między domami o pozamykanych



okiennicach, przechodzi przez ciemne podwórka, szybuję wśród opustoszałych stajni, porzuconych obór, a szmer jego czarnego płaszcza wprawia w drżenie trawę, po której demon stąpa, i liście, o które się ociera. Dopiero nad ranem Nehi chowa się w gęstym lesie, umyka do mrocznej kniei i szybuję bezgłośnie pośród dolin, jaskiń i rozpadlin skalnych, by wrócić do swojego potwornego zamczyska, hen, na najwyższych szczytach, do których nigdy nie odważyła się zbliżyć ludzka stopa.

„Patrzcie – szeptali drwale wczesnym rankiem – on tędy przechodził nocą. Nie więcej niż pięć, sześć godzin temu przechodził bezszelestnie właśnie tędy, w miejscu, gdzie teraz stoimy”. Na tę myśl przebiegał im po plecach zimny dreszcz.



8.

Pewnej nocy Mati postanowił spełnić obietnicę, którą złożył Mai. Nie miał jednak dość odwagi, by się ubrać, wymknąć na dwór i podejść do zagajnika poniżej ruin. Zamiast wyjść, odczekał cierpliwie, aż jego rodzice i siostry zasnęli, po czym wstał i wyslizgnął się na bosaka, by czuwać do samego rana przy oknie w kuchni, skąd można było, patrząc na ukos, obserwować zagajnik. Poniżej ruin Mati naliczył dziewięć drzew. Przez całą noc było ich dziewięć, tyle samo o brzasku, tak że chłopiec doszedł do wniosku, że Maja widocznie się pomyliła, ze strachu albo z przejęcia. A może zasnęła i to jej się tylko przyśniło.

Jednakże rano, w klasie, kiedy opowiedział jej o tym szep-tem, Maja odparła:

– Mati, chodźmy tam razem po lekcjach i policzmy, ile drzew rośnie tam naprawdę.

Poszli więc na stok wzniesienia, na którym znajdowały się ruiny i policzyli dokładnie, z uwagą. Dotykali każdego



z drzew, wypowiadając jego numer, i oto znów było ich tylko osiem, a nie dziewięć.

W klasie po obu stronach tablicy, od okien aż po regał z książkami, pani Emanuela rozwiesiła wielkie czarne i czerwone ostrzeżenia: „W lesie jest niebezpiecznie”, „Strzeżcie się gór”, „Każdy krzak może być zasadzką”, „Za każdym kamieniem może się czaić coś, co wcale nie jest kamieniem”, „Dziecko, które chodzi samo po dolinach, może nigdy nie wrócić albo zapaść na rżycę”, „Ciemność to nasz wróg”, „Świat na zewnątrz jest pełen niebezpieczeństw”.

Z głębi lasu, z serca gęstej iglastej puszczy otaczającej ze wszystkich stron wioskę, wionął nieokreślony, mroczny zapach. Nawet w lecie przenikał do wioski jakby ponury cień zimy. A potok, który kipiąc i bulgocząc, wił się pośród domostw i rwącym nurtem spływał po stoku w głąb doliny, przy czym bryzgał na brzegi białą pianą, jakby gdzieś uciekał co tchu, byle dalej – mimo wszystko na chwilę zwalniał w tym miejscu bieg, aby przekląć tę wioskę.



2.

Spośród wszystkich dzieci w wiosce tylko ich dwoje, Maję i Matiego, owa mroczna puszcza bardzo pociągała. Właśnie ze względu na te przestrogi, milczenie i strach ich serca wyrywały się do lasu, a wyobraźnia kusiła ich, by się przekonać, co też skrywają nieprzejrzone knieje. Mati miał nawet pewien plan, w który wtajemniczył Maję, ponieważ wiedział, że jest od niego odważniejsza. Poza tym planem i wspólnym pragnieniem, by wybrać się do lasu, mieli jeszcze inny sekret, wielką tajemnicę, której nie wyjawili nikomu – ani rodzicom, ani pani Emanueli, ani starszym siostram Matiego, ani Almonowi, ani Danirowi Dekarzowi, ani też żadnemu z kolegów i koleżanek. Tylko kiedy w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich usłyszeć, Maja i Mati rozmawiali szeptem i nie pozwalali przygasnąć wspólnej, należącej wyłącznie do nich tajemnicy. Często popołudniami spotykali się po kryjomu w pewnej porzuconej, rozpadającej się stajni na podwórku za domem Matiego, z dala od jego rodziców i sióstr, i cicho rozmawiali o swoim sekrecie.



Dzieci z wioski, w tym również starsze siostry Matiego, zauważyły, że tych dwoje często ze sobą szepcze, i zaraz doszły do wniosku, że Maja i Mati się w sobie zakochali. A skoro są zakochaną parą, to przecież nie zawadzi – ba, będzie wręcz miło – trochę o nich poplotkować, a nawet nieco z nich podrwić i im podokuczać. W końcu zawsze, w każdym czasie i miejscu, chłopaka i dziewczynę, którzy mają ochotę niekiedy побыć sam na sam, zamiast trzymać się nieustannie grupy, natychmiast uznaje się za parę. A to już zachęta do zazdrości. Zazdrość zaś boli, nabrzmiewa, aż zaczyna z niej wypływać drwina, mniej więcej tak jak ropa wycieka z zakażonej rany.

Nie tak widzieli siebie Mati i Maja – oni bynajmniej nie uważali się za parę, mieli tylko wspólną tajemnicę. Ani razu nie trzymali się za ręce i nie spojrzeli sobie głęboko w oczy, nie wymieniali też porozumiewawczych uśmiechów, a już z całą pewnością się nie pocałowali, chociaż zarówno jej, jak i jemu zdarzyło się dwa albo trzy razy wyobrażać sobie, co się czuje w czasie pocałunku i jak do niego dochodzi.

Jednak o tych wyobrażeniach nigdy nawet nie wspomnieli. Nie łączyła ich miłość, lecz sekret, którego nikomu w żadnym wypadku nie wolno wyjawiać.

Ze względu na ten sekret, a także na to, że z nich drwiono, Maja i Mati czuli się bardzo sobie bliscy, a jednocześnie odosobnieni – bo gdyby inni odkryli ich tajemnicę, wyśmiewaliby się z nich jeszcze bardziej, drażniliby się z nimi i dokuczali im w dwójnasób. Przecież jeśli ktoś nijak nie potrafi się dostosować i być taki jak wszyscy, znaczy to, że cierpi na rżycę, skowyciec czy inną chorobę. Niech się więc tylko do nas nie zbliża, niech się lepiej trzyma od nas z daleka, żeby nas nie zarazić.



Niektórzy szydzili z zeszytu, w którym Almon Rybak zapisywał swoje myśli, z jego zwyczaju, by stawać rano i wieczór na skraju podwórka i gwizdać na psa, który zapewne nie żył już od lat, i z zupełnie niepotrzebnego stracha na wróble, którego ustawił między grządkami warzyw w swoim ogrodzie. A najbardziej śmiano się z Almona za jego plecami z powodu długich dysput, jakie niekiedy toczył ze sobą albo ze swoim strachem na wróble. Były rybak nieraz spierał się nawet z potokiem, z księżycem i z płynącymi po niebie chmurami. We wsi śmiano się zwłaszcza z tego, jak po każdej kłótni czy sprzeczce Almon przeproszał się ze strachem, ze ścianą czy z filiżanką.

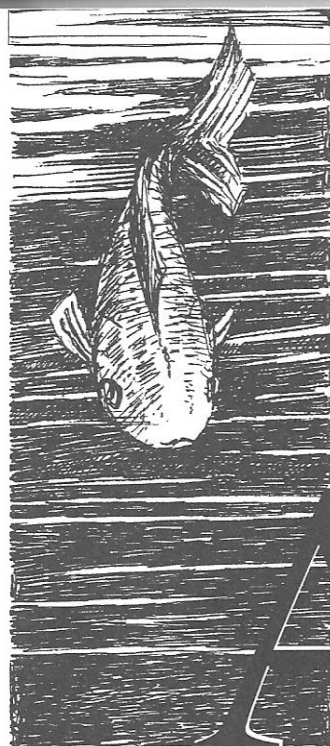
Mieszkańcy wioski często natrzęsali się także z Lilii Piekarki, owdowiałej matki Mai, a nawet kręcili palcem z boku głowy na jej widok: „Patrzcie no, znowu tu idzie ta dziwaczka, co pod koniec dnia łamie chleby, których nie udało jej się sprzedać, a okruchy wrzuca do potoku lub rozsypuje między drzewami, bo może jakimś cudem przypłynie tu do nas zbłąkana ryba albo ptak zabłądzi przypadkiem na niebo nad nami”.

Po prawdzie również kilku z tych, którzy naigrawali się z okruchów Lilii, zatrzymywało się czasami na dłużej lub krócej pod drzewami albo nad brzegiem potoku, gdzie stali, jakby wyczekując: Może kiedyś? Może jednak? Mimo wszystko? Nie? Po chwili jednak otrzęsali się, jak gdyby ktoś nagle klasnął im nad uchem. Wzruszali wtedy ramionami i odchodzili, nieco zawstydzeni.

A jak paskudnie, bo niemal otwarcie, nie zaś tylko za plecami, natrzęsała się cała wioska z ubogiej krawcowej Soliny i jej męża kaleki, Ginoma, który stracił pamięć, a do tego tak



się skurczył, że był mały jak poduszka i meczał cichutko jak porzucony baranek. Solina zawijała go w powijaki, przykrywała dwoma wełnianymi kocykami i co wieczór zabierała w dziecięcym wózku na długi spacer po uliczkach wioski, aż nad brzeg potoku, którego gniewny szum pobudzał Ginoma do meczenia ostrym, pełnym rozpaczny głosem, jak gdyby wszystko już było stracone.



10.

A sekret był taki: pewnego razu Mati i Maja poszli boso w górę potoku, by zbierać okrągłe, wypolerowane otoczaki, z których mama Matiego wyrabiała drobne ozdoby na sprzedaż. Na jednym z zakoli, w nie rzucającym się w oczy miejscu, zebrało się trochę wody w jakby rozpadlinie, tworząc zacienioną sadzawkę ukrytą w bloku szarych skał – maleńką, nie większą niż odległość między nogami krzesła. Dno tej sadzawki zasłaniał gęszcz wodorostów. Słońce, kiedy chciało się tu przejrzeć, rozpryskiwało się na nich w drobny pył; w sadzawce zapalały się wtedy roje ostrych, rozedrganych złotych iskier.

I oto nagle pomiędzy kępą wodorostów a kamiennymi ściankami sadzawki błysnęła znienacka oślepiającym światłem – nie, to wykluczone – migotliwa, lśniąca, zwinna – ale jakże to możliwe? – mignęła jak nóż, który wpadł do wody, drżąca, cała pokryta drobnymi łuskami mieniącymi się blaskiem, jakby były z żywego srebra... ryba. To ryba, to była ryba!



Ale jak to? Przecież to nie mogła być ryba! Jesteś naprawdę pewna, Maju, że ty też widziałaś tu rybę? Bo ja, posłuchaj, jestem całkowicie, zupełnie, święcie przekonany, że chociaż to absolutnie niemożliwe, mimo wszystko jednak to była ryba. Ryba, Maju, ryba, żywa ryba. Ty i ja widzieliśmy tutaj rybę. I to nie tak po prostu ją zobaczyliśmy, ale widzieliśmy wyraźnie jak na dłoni, że to z całą pewnością ryba. Ryba, a nie żaden liść, ryba, a nie odłamek metalu. Ryba, mówię ci, Mati, naprawdę, naprawdę ryba, ryba bez cienia wątpliwości, ryba, widziałam ją. Ja też widziałem. To była ryba, ryba i tylko ryba, nic innego tylko ryba.

Była to rzeczywiście mała ryba, rybka długości połowy palca. Miała srebrne łuski, delikatne, koronkowe płetwy i drgające, przezroczyste skrzela. Jej okrągłe, szeroko otwarte rybnie oko popatrzyło chwilę na nich, jakby dając im do zrozumienia, że wszyscy, wszystkie istoty żyjące na tej planecie, ludzie i zwierzęta, ptaki, drobne żyjątka, gady i ryby, wszyscy w gruncie rzeczy jesteśmy sobie dość bliscy, mimo wielu dzielących nas różnic. Przecież prawie wszyscy mamy oczy, aby widzieć kształty, ruch i kolory, prawie wszyscy też słyszymy dźwięki i szmery albo przynajmniej przez skórę wyczuwamy następujące po sobie światło i ciemność. Wszyscy bez przerwy odbieramy i kojarzymy ze sobą różne rodzaje zapachów, smaków i innych doznań.

To jednak nie wszystko. Każdemu z nas bez wyjątku zdarza się wystraszyć albo wręcz przerazić, wszyscy bywamy zmęczeni albo głodni i w każdym z nas są takie rzeczy, które przyciągają, i takie, które odpychają, budząc strach lub obrzydzenie. Poza tym każdego z nas bez wyjątku bardzo łatwo jest skrzywdzić.



I wszyscy, zarówno ludzie, jak i wszelkie żyjątka, owady i ryby, śpimy i czuwamy, a potem znów zasypiamy i się budzimy, wszyscy co do jednego staramy się, by nam było dobrze – ani za ciepło, ani za zimno – wszyscy też bez wyjątku przeważnie staramy się siebie chronić i wystrzegamy się wszystkiego, co tnie, gryzie i kłuje. Przecież każdego z nas bardzo łatwo zgnieść. I wszyscy, ptak i robak, pies, dziecko i wilk, próbujemy unikać, o ile to możliwe, bólu i niebezpieczeństw, a jednak narażamy się na nie jakże często, za każdym razem, gdy wychodzimy z domu w poszukiwaniu pożywienia czy rozrywki, a także przygód, wrażeń, władzy i przyjemności.

– Do tego stopnia – stwierdziła Maja po chwili zastanowienia – do tego stopnia, że można właściwie powiedzieć, że wszyscy bez wyjątku płyniemy w jednej łódce: nie tylko wszystkie dzieci, nie tylko cała wioska, nie tylko wszyscy ludzie, ale w ogóle wszystkie żywe istoty. Wszyscy. I nadal nie jestem pewna, jaka jest poprawna odpowiedź na pytanie, czy rośliny też nie są w jakimś sensie naszymi dalekimi krewiakami...

– Wychodzi na to, że ten, kto drwi z innych pasażerów albo im dokucza – rzekł Mati – w gruncie rzeczy jest głupcem, który krzywdzi wszystkich współpasażerów. A przecież innej łódki nikt z nas nie ma.

Minutę, a może nawet niecałą minutę później, rybka wygięła się, rozpostarła szeroko wachlarz swoich cieniutkich płetw, po czym umknęła w okamgnieniu, zanurzając się w ciemnej wodzie i w cieniu rzecznych wodorostów.

Było to jedyne zwierzę, jakie Maja i Mati widzieli przez całe życie, jeśli nie liczyć rycin krów, koni, psów i ptaków



na kartach książek czy na ścianach w klasie pani Emanueli albo figurek, które rzeźbił Almon Rybak i rozdawał dzieciom w wiosce.

Maja i Mati wiedzieli, że to była ryba, gdyż widzieli podobną w książkach z obrazkami. Wiedzieli też, bez cienia wątpliwości, że jest żywa, a nie namalowana, ponieważ żadne malowane zwierzę w tamtych albumach nie byłoby zdolne tak naprężyć mięśni, wygiąć się i błyskawicznie zniknąć im z oczu, zanurzając się głęboko w miejscu niedostępnym dla wzroku, wśród cieni wodorostów.



11.

Było to pierwsze żywe stworzenie, jakie widziano w wiosce od wielu lat – od tamtej potwornej nocy, kiedy to Nehi, górski demon, zgromadził długą karawanę zwierząt i wszystkie je zabrał na zawsze daleko: od konia po gołębia, od myszy po owcę i byka. Niekiedy zdawało się, że rodziców ogarnia, bez ostrzeżenia, fala tęsknoty albo żalu, a wtedy zaczynali naśladować dla dzieci głosy ptaków i bydła, różnego rodzaju pomekiwania i beczenia, wycie wilka z lasu, gruchanie gołębi i brzęczenie pszczoły czy trzepot gęsiich skrzydeł nad potokiem, rechot żaby i pohukiwanie sowy lub puchacza. Jednak po chwili ci sami rodzice wypierali się swojego rozrzewnienia, udając, że w gruncie rzeczy mieli zamiar tylko trochę pożartować, nic więcej, i z całą stanowczością twierdzili, że wszystkie te odgłosy nie należą do rzeczywistości, lecz wyłącznie do świata legend i bajek.

Przedziwne i kręte były ścieżki, którymi kluczyła pamięć mieszkańców tej wioski. Sprawy, o których bardzo chcieli



sobie przypomnieć, umykały im i chowały się głęboko pod pierzyną zapomnienia. To natomiast, o czym zdecydowanie woleliby zapomnieć – właśnie to, jakby na złość, wpływało na powierzchnię. Czasami przypominali sobie o czymś, czego właściwie nie było, albo wspominali coś, co istniało i czego już nie ma. Wspominali to z bólem i nostalgią, ale ze wstydu albo z żalu twierdzili stanowczo, że wszystko to tylko sen. Jedynie chwilowy kaprys wyobraźni, nic więcej. I mówili dzieciom: „To tylko bajka”.

Albo też mówili: „To w końcu tylko taki mały żart. Nic więcej”.

U kilkorga dzieci opowieści te budziły niejasną tęsknotę za czymś, co być może kiedyś tu było, a może wcale nie. Jednak mnóstwo dzieci w ogóle nie chciało tego słuchać albo słuchały, a potem drwiły z rodziców i z pani Emanueli; ponieważ od tak wielu już lat nie widziano w wiosce żadnych zwierząt, większość dzieci doszła do wniosku, że wszystkie te „muuu”, „mee” i „miau”, wszystkie „hazzz”, „haaii”, „uuu”, „grrruuu” i „krrraaa” są tak naprawdę tylko dziwacznymi wymysłami rodziców, zabobonem nie z tej epoki, który najwyższy czas wykorzenić i zacząć wreszcie mocno stąpać po ziemi, bo każdy, kto żyje w świecie fantazji, po prostu odróżnia się od innych, a kto nie jest taki jak wszyscy, może nawet zachorować na rzycę, wtedy zaś wszyscy będą go unikali i nikt już nie zdoła go uratować.

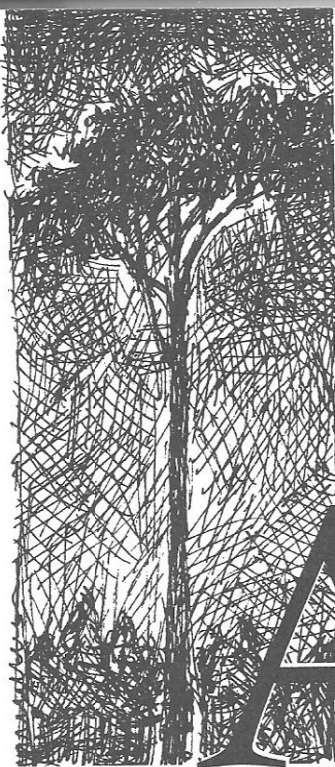
Chyba tylko Danira Dekarza – roześmianego długonogiego Danira, ulubieńca dziewcząt, który w towarzystwie swoich pomocników lubił śpiewać całymi dniami przy pracy wysoko na górze, na szczytach spadzistych dachów, który chętnie



zatrzymywał się na drodze, by porozmawiać przez okna z dziećmi zupełnie jak z dorosłymi albo na odwrót, gaworzyć z nimi tak, jakby on sam był jeszcze dzieckiem, i który lubił wygwizdywać melodie, przechodząc pod oknami dziewczyn z wioski – chyba tylko Danira był sens pytać, co z tego wszystkiego jest prawdą, a co nie.

Jednak kłopot z Danirem i jego kolegami, tymi, którzy gromadzili się wokół niego na wyłożonym kamieniem placu w czasie długich letnich wieczorów, polegał na tym, że nigdy nie było wiadomo, kiedy żartują albo nabierają kogoś czy siebie nawzajem. Jeśli rzeczywiście kiedykolwiek mówili poważnie, to nawet wtedy wydawało się, że stroją sobie żarty. Każdy, kto próbował porozmawiać z nimi poważnie, też zawsze z jakiegoś powodu nagle zaczynał zwracać się do nich półżartem. Chociażby wcale nie miał zamiaru.

Prócz Almona Rybaka, którego nikt nie słuchał, bo wszyscy mieli go za nic, nie było w wiosce nikogo, kto by nauczył dzieci, że rzeczywistością jest nie tylko to, co widzi oko, słyszy ucho i czego można dotknąć ręką, ale także to, co pozostaje ukryte przed okiem i dotykiem, a ujawnia się czasami, tylko na chwilę, temu, kto umie uważnie słuchać uszami ducha i dotykać palcami myśli. Jednak kto by tu w ogóle chciał słuchać Almona? On był starym i prawie ślepym gadułą, co stoi przed tym swoim okropnym strachem na wróble i bez końca się z nim kłóci.



12.

A kiedy rybka zniknęła, zobaczyli na swoich twarzach wyraz osłupienia: usta nagle lekko im się rozwarły, oczy otworzyły się szeroko, a czoła i policzki zbladły jak płótno.

– Powiedz, słyszałeś to co ja?

– A ty też to słyszałaś?

Czy to możliwe, że z daleka, spoza najbliższego lasu, zza dolin i wzniesień, ze skraju puszczy porastającej łańcuch stromych gór wznoszący się na północy, nadleciały – i zaraz ucichły – trzy, cztery stłumione, senne dźwięki, niskie i głuchoe odgłosy podobne do szczekania psów?

O tym, jak szczekają psy, Maja i Mati dowiedzieli się przecież z opowieści pani Emanueli – lecz kto by nie drwił z nieszczęsnej nauczycielki, która zaleca się do każdego mężczyzny, a mimo to nie trafiła w całej wiosce na takiego, który zechciałby zostać jej towarzyszem albo chociaż spojrzeć w jej stronę.



I oto krótko po zdarzeniu z rybą Mai i Matiemu wydało się, że odgłosy dochodzące od północnego łańcucha gór przypominają szczekanie. A może to wcale nie były głosy psów? Może to tylko daleki wodospad? Albo zaledwie złudzenie wywołane przez konary drzew, które z przejściem zaczęły dyszeć, skrzypieć i stękać, poruszone wiatrem?

Kto uwierzy Mai i Matiemu, że widzieli żywą rybę w potoku? A do tego niemal równocześnie usłyszeli dalekie szczekanie psów? Kto nie będzie się z nich natrzasał? Zdarzało się, że któreś z dzieci pojawiało się rano i usiłowało przekonać innych na szkolnym podwórku, że słyszało – zaklinało się, że słyszało – jakiś dźwięk, który mógł być ćwierkaniem. Albo bzyczeniem. Pozostałe dzieci z kolei nawet przez chwilę nie wierzyły temu, kto opowiadał takie historie, tylko drwiły z niego i dokuczały mu, mówiąc: „Lepiej zaraz przestań, nim skończysz jak Nimi Żrebak”.

Może dlatego, że szyderstwo chroni szyszczącego przed groźbą osamotnienia? Jako że ci, którzy drwią, zawsze są w grupie, a ten, z kogo inni się natrzasają, zawsze zostaje sam?

A dorośli? Może tylko dlatego, że zawsze usiłowali zagłuszyć pewien głos szepczący w ich wnętrzu? Albo wstydzieli się jakiejś winy?

Wielokrotnie Mati i Maja wracali w to miejsce, pochylali się nad sadzawką, przybliżali do niej twarze, omal nie zanurzając nosów w wodzie, rybka wszakże już się nie pojawiła. Na próżno przetrząsali każdą z dziesiątek czy setek małych kałuż rozsianych tu i tam, u podnóżu stoku wznoszącego się nad strumieniem, między skałami, w ukrytych zatoczkach, w miejscach, gdzie wodorosty zasłaniały piasek ścielący się na dnie potoku.



Ale pewnego razu, pod wieczór, coś niespodziewanie mignęło im nad głowami, daleko, daleko w górze. Coś unosiło się tam, wysoko w przestworzach, frunęło czy może szybowало, cienkie i świetliste jak samotny obłok gnany wieczornym wiatrem. Zupełnie przezroczyste, nadleciało od strony lasu i sunąc z prądem powietrza, przemknęło bezszelestnie wysoko nad ich głowami, po czym znów schowało się w puszczy i przepadło, tak że Maja i Mati o mały włos zdążyliby to zauważyć.

O mały włos – a jednak żadne z nich nie zdołało dojrzeć, czym było to, co przeleciało im nad głowami, wyniosłe, milczące, a potem popłynęło dalej, wysoko nad wioską i potokiem, i nad mrocznym borem. Dlatego spojrzenia Mai i Matiego nagle się spotkały. I w tej samej chwili oboje zadrżeli.



13.

Tak więc tych dwoje, Mati i Maja, niczym mała, dwuosobowa komórka konspiracyjna, zaczęło się nawzajem utwierdzać w przekonaniu, że być może naprawdę istnieją gdzieś żywe zwierzęta. Mati bał się bardzo, a Maja trochę mniej, lecz mimo to, jak za sprawą czarodziejskiego zaklęcia, poczuli nieodpartą chęć, by wyruszyć na poszukiwanie śladów życia. Niełatwo przyszło Matiemu i Mai powziąć decyzję o takiej eskapadzie. Nie do końca polegali na sobie: bo może zarówno ta rybka, jak i szczekanie były tylko grą wyobraźni? A może to tylko srebrny listek błysnął na chwilę w wodzie, nim zanurzył się i zniknął? Może gdzieś w dalekich połaciach lasu złamało się sędziwe drzewo i tylko echo jęku, które doleciało do nich z wiatrem, przypominało trochę szczekanie? Jak i gdzie mają wyruszyć na swoją wyprawę? A co będzie, jeśli ich złapią i ukarzą? I oboje staną się pośmiewiskiem? Co, jeśli, podobnie jak Nimi Żrebak, zachorują na rżycę?

A co się z nimi stanie, jeśli rozsierdzą Nehiego, demona



gór? Co, jeśli oni też znikną na zawsze pod połą jego czarnego płaszcza, tak samo jak przed wieloma laty zniknęły wszystkie zwierzęta, które – jak mówią dorośli – żyły kiedyś w wiosce i w jej okolicy?



14.

Odpowiedź na te pytania – podpowiadało im serce – jest taka, że swoje poszukiwania powinni rozpocząć w lesie. Tak bardzo przeraziło to Matiego i Maję, że ze strachu przestali na trzy albo cztery tygodnie szeptać o planach eskapady. Jak gdyby zaszła między nimi rzecz tak wstydliva, że lepiej udawać, że w ogóle nic się nie wydarzyło. Albo wydarzyło się, ale odeszło w niepamięć.

Jednak ta przygoda zapuściła już w nich korzenie, przeniknęła głęboko ich sny. I już nie budziła w nich radości, zaciekawienia czy podniecenia, już nie wlewała w ich serca nieustraszonej odwagi, lecz jedynie szare, nieustające poczucie, które chwyciło ich i nie puszczało całymi dniami: że się stało. Że tak to jest, i już. Że nic nie da się na to poradzić. Że teraz to już spoczywa na ich barkach. Że na dobrą sprawę nie mają już wyboru.

Tak więc znowu zaczęli szeptać o lesie, o rybce z sadzawki, o dalekim szczekaniu psów, o obłoku, który przeleciał im



nad głowami, ale tak naprawdę nie był obłokiem, i o innych jeszcze śladach życia. Te ich potajemne spotkania ponownie wywołały wśród dzieci z klasy, a także wścibskich sąsiadek i sąsiadów, rozmaite plotki i szept, którym towarzyszyły porozumiewawcze mrugnięcia i drwiny: „Patrzcie no tylko na tę parę. Na pewno już trzymają się za ręce, ba, co tam ręce, założę się, że już się całowali. A kto wie, może już nawet sobie pokazywali?”

Niektórzy mówili, że właściwie tych dwoje dziwaków nawet do siebie pasuje, ona z tą swoją matką, stukniętą piekarką, która rozsypuje co wieczór kawałki pieczywa w potoku, gdzie nie ma ani jednej ryby, albo rozsiewa okruszki chleba pod drzewami, gdzie nie ma żadnych ptaków, i on z zapiskami, jakie robi w zeszycie, a potem biegnie, żeby pokazać je Almonowi Rybakowi, który gada do ścian. A może on to pokazuje nie Almonowi, tylko jego strachowi na wróble?

Drwiny narastały wokół nich tak, jak ciemna plama błota rozchodzi się w wodzie, zmieniając ją w mętną breję. Jednakże Mati i Maja przekopali już tunel, którym umieli się przedostać na drugą stronę drwiny: pewnego ranka wstali bardzo wcześnie i zamiast pójść do szkoły, zboczyli z drogi, wyszli z wioski, po czym skierowali się w górę, wprost do lasu.



15.

Maja i Mati szli w górę potoku, ale nie trzymali się za ręce, no, może tylko raz czy dwa. Kiedy przeprawiali się na jakimś zakolu na drugi brzeg po śliskich kamiennych wysepkach rozsianych w poprzek nurtu i przeskakiwali z jednego mokrego kamienia na drugi, musieli chwycić się za ręce, żeby się nie potknąć i nie wpaść do wody. Im wyżej się wspinali wzdłuż krętego potoku, tym las coraz bardziej gęstniał. Niekiedy musieli odpychać gałęzie i krzaki, rozchylać paprocie i pnącza, żeby utorować sobie drogę.

Chwilami mieli wrażenie, że nie są w lesie sami. Że jest tutaj ktoś jeszcze, ktoś, a może coś – coś szerokiego, wielkiego i ciemnego, coś, co zdawało się oddychać gdzieś z tyłu, za nimi, głęboko i spokojnie. Gdziekolwiek jednak spojrzeli, widzieli tylko gęste chaszczce, których zieleń coraz bardziej wpadała w czerń. I chociaż nadstawiali uszu i jak tylko mogli wytyżali słuch, nie słyszeli nic prócz szemrania wiatru w koronach



drzew, odgłosów potoku rozbryzgującego się o zęby skał czy chrzęstu zeschniętych liści i gałązek pod własnymi stopami.

Miejscami zarośla stawały się tak gęste, że aby się przez nie przedrzeć, musieli się schylić albo wręcz iść na czworakach. Niekiedy mijali wylot jaskini, ale jeśli zajrzeli do środka, widzieli tylko zalegające w jej gardzieli czarne ciemności, które ziały pradawnymi woniami pyłu i gęstego mchu.

Ale oto niespodziewanie z jednej z jaskiń dochodził nie zapach mchu, lecz wijąca się smużka dymu i miła woń płonących w ognisku gałęzi, która zaprawiała powietrze słodyczą. Naraz znieruchomieli, a po chwili Mati powiedział do Mai:

– Uciekajmy stąd prędko, zanim nas ktoś zobaczy.

Maja odparła szeptem:

– Ale wcześniej mimo wszystko podczołgam się trochę bliżej, żeby chociaż zobaczyć, co tam jest. Po prostu nie mogę się oprzeć. Ty poczekaj tu na mnie, Mati. Schowaj się za tym głazem i stój na straży. Jeśli zobaczysz, że wyskakuję stamtąd i uciekam, to też biegnij z powrotem na dół. Nie zatrzymuj się ani nie czekaj na mnie, tylko biegnij co sił do domu, nie oglądając się za siebie. Ja również pobiegnę na dół najszybciej, jak będę mogła. Ale jeśli zobaczysz, że minęło, powiedzmy, piętnaście minut, a ja stamtąd nie wychodzę, to dłużej na mnie nie czekaj. Pędź do domu, postaraj się dokładnie zapamiętać drogę i powiedz Danirowi Dekarzowi. Tylko Danirowi. I nikomu więcej. Żeby moja mama się nie wystraszyła.

Matiego opanował strach i już miał szepnąć Mai, żeby tego nie robiła, że to niebezpieczne, bo nie wiadomo, co się czai na nich w mroku jaskini, jednak powstrzymał się, bo zdawał



sobie sprawę, że Maja jest od niego odważniejsza, i było mu trochę wstyd, a nawet drwił z siebie.

Dwa zakręty i trzy skalne stopnie zaprowadziły Maję do wąskiej niszy u wylotu niskiej jaskini. Po jej okopconych ścianach w świetle ognia tańczyły niespokojne cienie. Z ogniska bił dym o miłym, smakowitym zapachu. Mati zatem, po chwili wahania, postanowił nie słuchać Mai, tylko wejść za nią do środka; pokonał dwa zakręty i dwa skalne stopnie, lecz na trzecim stopniu skończyła się jego odwaga i przystanął, schował się za załomem skały, po czym wychylił się, żeby zobaczyć, co się dzieje z Mają. Ukazał mu się siedzący plecami do Mai nieduży człowieczek, który w skupieniu doglądał ogniska. Zdawało się, że nie zauważył, kiedy weszła i stanęła za nim, ostrożnie, w napięciu, gotowa w każdej chwili zawrócić i rzucić się do ucieczki.

Człowieczek grzebał w ogniu kijem, piekąc kilka ziemniaków z cebulą. Bardzo delikatnie przewracał je z boku na bok, rozniecając żar i podgarniając popiół, a jednocześnie przemawiał przyjaźnie do ogniska, kierował miłe, zachęcające słowa do płomienia i wychwalał siebie za tak udane palenisko. Doglądając wciąż ognia, do którego niemal bez przerwy coś mówił, nie zauważył Mai, która pochyliła się, żeby mu się z bliska przypatrzeć, ani przerażonego Matiego, który przyglądał się temu nieustannie zza skalnego załomu. Chłopiec obserwował Maję od tyłu i nie mógł się zdecydować, co zrobić – nogi błagały go, by uciekał stamtąd jak najszybciej, uczucia zaś stanowczo się domagały, by zrobił krok do przodu i stanął u boku dziewczynki. Wskutek tych zmagających się



nogami a uczuciami Mati pozostał w zagłębieniu skalnym, dość blisko pleców Mai, ale nie tak blisko obcego jak ona, nieco bliżej wylotu jaskini.

Nagle obcy odwrócił wzrok i uśmiechnął się ze spokojem, bynajmniej nie zaskoczony, jak gdyby cały czas zdawał sobie sprawę, że przybyli nieoczekiwani goście, i tylko czekał sobie sobnej chwili, by móc zostawić pilnowanie ognia i wywiązać się z powinności gospodarza.

– Maja? Mati? Może chcecie usiąść? Odsapnąć trochę? Macie ochotę na pieczone ziemniaki? Chodźcie, siadajcie. Mam też warzywa i przeróżne owoce, grzyby i orzechy. Siadźcie tutaj.



A oto tutaj, w tej jaskini, Mati i Maja odnaleźli Nimiego.



Nie tego jednak, który rzy i ucieka przed ludźmi, wdrapuje się na drzewa i stroi dziwne miny, siedząc na najwyższych gałęziach, lecz Nimiego, który mówi i kładzie im rękę na ramieniu, a nawet zaprasza, by zjedli z nim pieczone ziemniaki z cebulą, zrumienioną w ogniu na ciemny brąz, i nawet to jego płaczące oko uśmiecha się do nich przyjaźnie.

A do tego później, kiedy usiedli we troje, syci i odprężeni, wokół zarzających się drzew i rozmawiali, Nimi wyjaśnił im, że to jego zrebienie wcale nie wynika z choroby, tylko z jego woli: dość już miał docinków, kpin i szyderstw, więc postanowił odejść, by żyć samotnie jako wolne dziecko, bez rodziców, bez sąsiadów, bez kolegów z klasy, bez kogokolwiek, kto by go obrażał, tak by nikt we wsi ani na całym świecie nie mówił mu przez cały dzień, co robić, a czego nie. Wybrał samotność, w spokoju i na swobodzie. To prawda, ma dość dużą szczerbę między koślawymi przednimi zębami, ale przynajmniej nie będzie między nimi zębami, a nie trujący gryzb, jak u tamtych szyderców. Od czasu do czasu Nimi schodzi, żeby posnuć się po wiosce i trochę porzec między podwórkami, a wszyscy unikają go i uciekają na jego widok, bojąc się zarazić. Jednak to tutaj jest jego dom, tu sobie żyje, w tej jaskini, gdzie gromadzi też rozmaite przedmioty zebrane na podwórkach: książki, słoiki, sznurki, sucharki, sprzęty domowe, zeszyty, deski, świece, owoce, warzywa i ubrania zerwane ze sznurków z praniem. Almon Rybak zaś pozwolił mu wykopywać nocą ziemniaki ze swego ogrodu, a także zrywać do woli owoce z drzew i warzywa rosnące na grządkach.

– A jak to jest, że nie boisz się lasu? I Nehiego?

– Czasami naprawdę się boję, zwłaszcza w nocy, ale nie

się w cieniu roślinami, których kolor bliższy był czerni niż zieleni. Niektóre z nich kłuły i parzyły, były nawet takie, które szarpały skórę niczym jadowite ukąszenia.

Mati i Maja cały czas starali się nie oddalać zanađo od ko-ryta potoku. Idąc jednak w górę, nie mogli wciąż trzymać się jego krętego nurtu, ponieważ w kilku miejscach potok opadał, przeciskając się między dwiema niemal pionowymi skałami, albo wręcz znikał pod ziemią, by pojawić się znowu w zupeł-nie nieoczekiwanym miejscu. Jednak jego plusk pomagał Mai i Matiemu znajdować właściwą drogę w górę zbrocza, jak gdyby ów potok był nerwowym, gadatliwym przewodnikiem, który nie milknie ani na chwilę – czasem zgrzyta zębami, biegnąc po warstwie zwiru i gładkich kamyczków, czasem hućczy głucho, przeciskając się między ścianami skał, a kiedy indziej szaleje i ryczy, zmieniając w spieniony wodospad.

Po kilku godzinach zgubili potok. Nie było już nawet słychać jego chlupotu. Zamiaśt odgłosów potoku po leśnych zakamarkach niosły się echa innych szmerów, chrzęstów, westchnień i skwierczenia, jak gdyby gdzieś tu, w pobliżu, coś stękało, sapało i szeptało. To coś musiało być dość blisko, jednak pozostawało niewidoczne. Coś innego nagle odezwało się niedaleko nich zdławionym kaszlem, coś innego uporczy-wie piłowało albo chrupało mocnymi zębami, przerywało na chwilę, jakby zmęczone, po czym znów zaczynało chrupać. Maja i Mati mieli wrażenie, że powinien już nastać wieczór, i zamierzali poszukać sobie jakiejś jaskini, w której mogliby przeczekać do rana. Wydawało im się dziwne, że przez korony drzew nadal prześwituje światło dnia.

Mati zatrzymał się, żeby odsapnąć i powyciągać kolce oraz

suche igły, które obczepiły mu ubranie. Maja, która prawie cały czas wyprzedzała Matiego o kilka kroków, też przystanęła, czekając na niego. Zaproponowała, żeby iść dalej w górę zbocza, dopóki jest jeszcze widno. Dodała też, ale nie tak, jakby pytała go o zdanie, lecz jakby już znała jego odpowiedź:

– Chcesz wracać do domu?

Mati w głębi serca rzeczywiście chciał wracać, ale bardzo mu zależało na tym, by propozycja wyszła od niej, nie od niego. Dlatego spytał:

– A jak ty uważasz, Maju?

Maja odparła:

– A ty?

Wówczas się zawahał. Po chwili jednak rzekł nieugiętym, rycerskim tonem:

– Postanowiłem, że zrobimy tak, jak ty powiesz.

– Dobrze, że najedliśmy się u Nimiego przy ognisku – powiedziała Maja – ale teraz znów jestem trochę głodna i zmęczona.

– To wracamy? – spytał Mati.

– Chyba tak. W porządku. Ale nie do domu. Wróćmy do jaskini Nimiego i zostańmy tam do rana, a rano zaczniemy się wspinać dalej.

Zawrócili więc. Tym razem to Mati szedł przodem, żeby torować im drogę w gąszczu. Lecz zarośla gęstniały i plątały się coraz bardziej. A im usilniej starali się przez nie przedrzeć, niby dwoje pływaków przez wzburzone fale, tym bardziej stawały się zbite. I choć postanowili schodzić, okazało się, że coś kieruje ich znów pod górę, po lesistym stromym stoku. I ponownie mieli wrażenie, że dzień się już nachyla, ciemność jest już tuż-tuż, a jaskini Nimiego nigdy nie uda im się odnaleźć.



Głęboki cień przemknął nagle w niezmałconej ciszy nad ich głowami, przesunął się tuż nad wierzchołkami drzew, tak że niemal je musnął, przeszybował, zatapiając na moment cały gąszcz w mroku, by zaraz potem oddalić się bez najlżejszego szmeru. Zupełnie jakby na chwilę na wszystko opadła ciężka, czarna płachta. A wtedy ich serca ogarnął strach przed potężnym zaklęciem, lęk w obliczu dnia, który nie jest dniem, i wobec nocy, która niezupełnie jest nocą. Jednak ani on, ani ona nie wspomnieli o tym słowem. W milczeniu nadal przedzierali się pod górę. Aż nagle dotarli na jakąś półkę skalną, gdzie postanowili odpocząć i pomyśleć, co dalej. I tylko Maja odeszła wpierv kawałek, żeby się rozejrzeć, bo przez chwilę zdawało jej się, że słyszy z daleka szmer przepływającego potoku.

Mati, który pozostał tam, na górskim tarasie, między dwiema skałami, schylił się, żeby zbadać mały, skręcony kamyk, który przypominał ślimaka z rysunków, a może rzeczywiście był to skamieniały ślimak. W tym czasie Maja oddaliła się jeszcze bardziej w górę tarasu, skąd zdawał się dochodzić szmer strumyka. Nagle Mati stracił ją z oczu, nie słyszał nawet jej kroków, lecz bał się ją zawołać. Również Maja, kiedy się obejrzała, nie zobaczyła Matiego, który zniknął gdzieś między drzewami. I też bała się go zawołać – oboje mieli wrażenie, że nie wolno tutaj krzyczeć, ponieważ tak naprawdę nie są w lesie sami, lecz ktoś czeka na nich w głębi. Albo unosi się nad nimi. Albo może tylko stoi sobie cicho i nieruchomo pośród cieni i nieprzerwanie wodzi za nimi wzrokiem, schowany w leśnym gąszczu. W głębokiej ciszy, jaka panowała dookoła, Matiemu nagle wydało się, że słyszy bicie własnego,



przerażonego serca, i to nie tylko on, ale także to, co stoi tam, pośród cieni, i nieustannie mu się przypatruje – ono również może to słyszeć.

I oto, kiedy odłożył ślimakowaty kamień na płaską skałę, podniósł oczy i nie zobaczył już Mai, koło jego buta przepełził inny ślimak, nie skamieniały. Ale zanim Mati zdążył go zobaczyć, ten zniknął, jakby go nigdy nie było. Wsunął się w jedną ze szczelin.



17.

Po chwili wahania Mati doszedł do wniosku, że lepiej usiąść i poczekać na Maję tutaj, pod tą skałą przypominającą wielki topór. Bo co by się stało, gdyby poszedł jej szukać, a ona tymczasem wróciłaby inną drogą? A gdyby go tutaj nie zastała, gotowa by jeszcze wyruszyć na poszukiwania do lasu, błąkać się między pagórkami i tak by się szukali, aż by się zupełnie ściemniło. Usiadł, oparty plecami o skałę w kształcie topora, i czekał, nadstawiając uszu na każdy szelest czy szmer.

Stąd, z góry, połacie lasu wydawały mu się ogromną, ciemną kurtyną poprzetykaną plamami zieleni, miejscami jaśniejszej, tu skąpanej w świetle, tam cętkowanej, gdzie indziej zszarzałej albo żółtawej, wreszcie mrocznej, wpadającej nieomal w czerń.

Mati wypatrywał w oddali, głęboko w dole, krytych dachówką domów wioski, lecz wioska zupełnie zniknęła. Oczyma wyobraźni chłopiec zobaczył sad Almona Rybaka.



W wyobraźni ujrzał też wyraźnie ogród i stracha na wróble między grządkami. I bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak sędziwy rybak przechodzi tam powolutku, wzdycha, a potem kuśtyka dalej między zagonami w stronę stołu na podwórku, tęskni do swojego psa Zita, do szczygłów, do ryb, a nawet do korników, które całą noc chrobotały wewnątrz mebli w jego pokoju. Teraz zapewne zżyma się na stracha na wróble albo idąc dalej, spiera się ze sobą i z pewnością nie pozostawia niczego bez odpowiedzi, lecz mamrocze coś pod gęstym siwym wąsem, prawdopodobnie dając jakąś nieodpartą ripostę. A tam, nieopodal ruin, stoi samotnie pani Emanuela i rozwiesza pranie na podwórku za swoją chatą. Mati, podobnie jak cała wieś, wiedział z plotek, że pani Emanuela, niemłoda już kobieta, od lat usiłuje zwrócić na siebie uwagę wszystkich mężczyzn, tak wolnych, jak żonaty, młodszych i starszych. Jednak w całej wiosce nie znalazł się taki, który by się nią zainteresował. Czasami Mati przyłączał się do szyderców, którzy przezywali ją złośliwie „Emanu-nie-ma”. I oto teraz pożałował tego w głębi serca: samotność i zniechęcenie pani Emanueli wydały mu się smutne i wzbudziły w nim litość.

Kiedy pomyślał o zaułku poniżej domu rodziców, wyobraził sobie, jak Danir Dekarz i dwóch jego pomocników siedzą tam okrakiem na kalenicy jednego z dachów, stukają młotkami i śmieją się, bo udało im się zgrać uderzenia trzech młotków w takt wesołego marsza.

Wyobraził też sobie Mati, jak krawcowa Solina zatrzymuje się w trakcie spaceru i pochyła nad wózkiem swojego męża kaleki, pewnie żeby poprawić mu kocyk albo zmienić mokre pieluchy, a może tylko po to, żeby pogłaskać Ginoma po



głowie pokrytej rzadkimi siwymi włosami, podczas gdy ten, z otchłani swojego zapomnienia, pobekuje cieniutko, żałośnie, bo wydaje mu się, że jest tylko barankiem, a żona jego mamą, owcą karmicielką.

I być może właśnie w tej samej chwili, kiedy Mati siedzi, wyobrażając sobie życie wioski, Lilia Piekarka, matka Mai, schodzi drogą z piekarni przy swoim domu do jedyne go sklepu spożywczego przy placu. Być może spotyka tam Solinę, która wozi męża w dziecięcym wózku. Lilia zapewne przystaje, jak zwykle, żeby zamienić z nią kilka słów, opowiedzieć jej, jak trudno jest wychowywać taką pyską i upartą dziewczynę jak Maja, bezczelną niczym sam diabeł, chociaż na pewno nie okrutną. „Cały kłopot w tym, że moja córka ma zbyt zawzięty i twardy charakter, wszystko wie lepiej niż ja i o wiele lepiej niż wszyscy inni, i dlatego wszystko musi być dokładnie, ale to dokładnie tak, jak ona chce”.

Potem Lilia prawdopodobnie otrzepuje swój fartuszek, przeprasza – bo ciągle, bez jakiegokolwiek potrzeby przeprasza wszystkich, spuszczając oczy – i natychmiast żegna się z Soliną i Ginomem, po czym rusza dalej w dół uliczki, pchając swój stary wózek do chleba, w którym już dawno należałoby naoliwić ośki, a może nawet wymienić kółka.

„A dlaczego właściwie nie miałbym wkrótce sam przyjść i naoliwić jej tych osiek? – pomyślał Mati. Jakie to ma znaczenie, co ludzie powiedzą? Niech gadają. Niech sobie szydzą choćby do jutra. Przecież ja i Maja widzieliśmy coś, o czym im się nawet nie śniło. A kiedy wrócimy z tego lasu, będziemy już chyba wiedzieć coś, czego nie wie nikt w wiosce. Albo bardzo nie chce wiedzieć. A może cała wioska wie, tylko uda-



je – zupełnie jak mały Nimi, który umyślnie udaje chorego na rżycę, żeby pozostać wolnym? O ile w ogóle wrócimy z lasu cali i zdrowi”.

Wydawało mu się to bardzo dziwne, że wieczór, który już dawno powinien nastać, okrywając cały świat ciemnością, wstrzymuje się i ciągle jeszcze zwleka. Jakby go ktoś zaczarował.

„A co będzie, jeśli Maja odeszła już daleko? A jeśli zabłądzi? A co, jeśli zaplątaliśmy się w pajęczą sieć tego gęstego lasu? Ile czasu zostało jeszcze – jeśli w ogóle – do zmroku? Na razie w domu chyba jeszcze nie zaczęli się o nas niepokoić. Ale niedługo zaczną”.

Mati siedział tak dłuższy czas, spoglądając z wysoka w stronę wioski, pogrążony w myślach i wyobrażeniach, chociaż w gruncie rzeczy usiłował odegnać narastający z każdą chwilą strach, który wpelzał mu pod skórę i przebiegał dreszczem po plecach; Maja bowiem nie wracała i nie wracała, wciąż nie dawała znaku życia. Mati był na nią coraz bardziej zły.

„Gdzież ona przepadła? Czy to możliwe, by zeszła i wróciła do wioski beze mnie? Na dobrą sprawę zasłużyła sobie na to, bym ja też stąd poszedł i w te pędy wrócił do domu, zanim nadejdzie noc”.

Później jego złość na Maję przeszła w zimny strach, kiedy wysokie drzewa rozszumiały się na wietrze, przerywając głuchą ciszę. Tymczasem w powietrzu dał się już odczuć lekki zapach jakby chylącego się popołudnia albo mającego zaraz nadejść wieczoru. Ta woń już-prawie-nadchodzącego-wieczoru zaczęła szeptać z liśćmi leśnych drzew. Wiatr drgał i szemrał między igłami sosen, tak że Matiemu przez chwilę znów się zdawało,



jakby wstał i już miał się puścić pędem do domu. Przez chwilę miał wrażenie, że hen, z oddali, ponownie dobiega go urywane szczekanie psów. Naraz jakby usłyszał też dochodzący gdzieś z góry, z gęstego lasu, stłumiony głos Mai, który przywoływał go z bardzo daleka: „Mati, Mati, chodź tuuutaj, chooodź, Ma-aati, chooodź tuuutaj, chooodź, chooodź...”

I nie wiedział, która z dwóch możliwości jest bardziej przerażająca: puścić mimo uszu wołanie, które może być nawet rozpaczliwym wzywaniem pomocy, czy przeciwnie – wstać natychmiast i odważnie się wspiąć, podążając za głosem, który może go zwodzić i mamić, który stara się zwabić go w zasadzkę, głosem nie pochodzącym z góry, tylko zrodzonym w jego głowie z lęku i rozpacz, jakie zaczęły już zasnuwać mu mrokiem serce i tłumić oddech niczym postawiona na piersi ciężka noga.



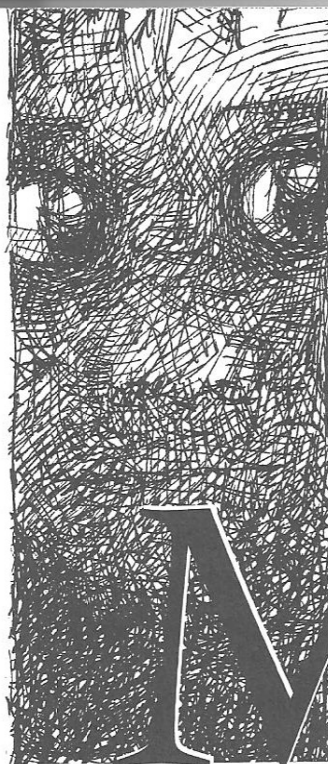
18.

Wreszcie Mati postanowił wstać i zaczął się wdrapywać na skały. Las wokół niego gęstniał i ciemniał coraz bardziej, jak gdyby drzewa specjalnie się ściśniały, by zagrozić mu drogę. Jednakże między konarami znów ukazała się ścieżka, czy może zarys wąskiej, wijącej się zboczem dróżki, która zaprowadziła go po urwistym stoku w splątane czarne chaszczce. Ścieżka ta pięła się ostrymi zakosami coraz wyżej i wyżej ku szczytowi, tymczasem słońce, zniżające się nad linią górskich grzbietów, zaczęło barwić niebo prześwitujące przez korony drzew kolorem jakby wielkiego pożaru, by przejść potem w odcień czerwonego wina, a wreszcie – rozżarzonych węgli. Lada chwila całe niebo i ziemię miała zasłonić matowa okrywa popiołu.

Wtem oczom Matiego ukazał się kamienny mur, a w nim brama z grubych drewnianych bali, z wnętrza zaś, ponad murem i bramą, dobywał się jakby obłok rozjaśniony wielobarwnym światłem. Dochodziło też stamtąd mnóstwo prze-



dziwnych dźwięków, jedne wysokie i ostre, inne głębokie i głuche, jeszcze inne delikatne i wdzięczne jak płatki śniegu; świsty i świergoty, sapanie i cykanie, piski i czułe nawoływania, jakich Mati nie słyszał nigdy w życiu, a mimo to przypominał je sobie i wiedział, że są to odgłosy zwierząt i ptaków. Rozbrzmiewały wśród nich jednostajne, spokojne muczenie i ciche pomruki, a także wesołe trele nieprzeliczonych chórów gardeł, które świergocząc i poświstując, wyśpiewywały pieśń radości. A wśród wszystkich tych dźwięków dał się słyszeć głos Mai, czysty i dźwięczący wesoło: „Co z tobą? Nie stój tak na zewnątrz. Otwórz bramę, Mati, i też tu wejdź”.



19.

Mati tkwił dłuższą chwilę przed bramą i zastanawiał się, co robić. Gdzieś w głębi duszy majaczyło mu dziwne, tajemnicze wrażenie, że już tutaj był, i to być może nieraz. Że kiedyś już stał, zupełnie jak w tym momencie, przed tą bramą. Że już niejednokrotnie się wahał, czy lepiej uciekać, czy wejść do środka. I że już się zdecydował, już tu wszedł i widział. Teraz zaś, jeśli tylko ze wszystkich sił wyteży wolę, być może zaraz przypomni sobie wszystko, o czym zapomniał. Może nawet to, czego nigdy nie wiedział ani nie oglądał.

Mati spostrzegł, że brama jest niedomknięta, i przypomniał sobie, chociaż właściwie nie mógł tego pamiętać, że tak samo było poprzednim razem i że z tą bramą tak już jest zawsze, w każdym czasie. Między skrzydłami bramy pozostała wąska szczelina i chyba jeszcze dałoby się ją otworzyć mocnym pchnięciem, by wejść i pospieszyć Mai na ratunek.

Chociaż może bezpieczniej byłoby natychmiast obrócić się



na pięcie i uciekać? Puścić się w dół ile sił w nogach i gnać bez wytchnienia po zboczu, nie oglądając się za siebie, pędzić co tchu do domu? Pobiec tam i opowiedzieć o wszystkim rodzicom, pani Emanueli, Danirowi Dekarzowi, strażnikom wioski, żeby się skrzyknęli i wyruszyli ratować Maję? Bo to jest przecież zamek Nehiego, czarnoksiężnika z gór, a Maja została uwięziona za murami tego zamku i przepadła; sam przecież nie zdołasz jej ocalić, a jeśli w tej chwili nie uciekniesz, będzie też po tobie. Oto za tymi murami i za grzbietami porośniętych lasem gór słońce już zaczyna się zniżać, więc jeśli nie pobiegniesz teraz ile sił w nogach, będziesz tak dalej stał samotnie w ciemności z gołymi rękami u bram twierdzy demona gór, a do domu już nigdy, przenigdy nie wrócisz.

Mati odwrócił się, by rzucić się do ucieczki, lecz powstrzymał go głos Mai. Wyszła na zewnątrz, stanęła między rozchylonymi skrzydłami bramy i, delikatnie przyciskając do piersi jakiś dziwny, szarobury okrągły kłębek, powiedziała spokojnie: „Chodź, nie bój się, Mati. Chodź tu do mnie. Tylko popatrz, zobacz te cuda, chodź za mną, Mati. Chodź, Mati, nie bój się. Chodź zobaczyć, jak tu jest wspaniale”.



20.

A kiedy podszedł do niej, zobaczył, że dziewczynka ma na rękach żywego kotka: nie obrazek kota, nie maskotkę czy figurkę w kształcie kota, lecz puszyste zwierzątko, żywe, delikatne, słodkie i nieśmiałe, wpatrzone w niego dwojgiem okrągłych oczu, z uszami nastawionymi z zaciekawieniem do przodu; nosek i wąsy zwierzątka drgnęły lekko, jak gdyby wcale nie było kotem, tylko wybitnym, słynnym filozofem, przenikliwym myślicielem, który w bezgranicznym skupieniu stara się dociec, któż to się nagle tutaj zjawił. I po co przychodzi. I co przynosi. A przede wszystkim – co też się właściwie dzieje tam, w nieznanych światach poza bramą.

Mati wystraszył się, a nawet wzdrygnął, bo koty znał jedynie z obrazków, poza tym miał wrażenie, że ciało kotka rozszerza się nieco, a potem kurczy, rozszerza i znów kurczy bez przerwy w sposób, który wydał się mu niesamowity i niemal straszny. Nigdy nie widział, a nawet nie przypuszczał, że żywe



istoty nieustannie oddychają, nabierają do płuc powietrza i je wypuszczają, po czym wdychają znowu, zupełnie jak ludzie.

Jednak Maja nie dała za wygraną – wzięła dłoń Matiego i raz za razem zanurzała jego drżące ze strachu palce w miękkiej kociej sierści, aż wreszcie ochłonęły, a w ślad za palcami uspokoiła się też dłoń, która pieszcząc, sama doznawała pieszczoty, po niej zaś uspokoiło się również jego ramię i całe ciało. I, ni stąd, ni zowąd, od dotyku futerka zrobiło się Matiemu wręcz bardzo miło, przyjemność sprawiały mu też palce Mai, które obejmując jego dłoń, wodziły nią po aksamitnym grzbiecie kota. Jak gdyby przekazywały chłopcu delikatne, rozkoszne drżenie, jakby ciepły dreszcz przepływający między wnętrzem jej a grzbietem jego dłoni, a przez dłoń Matiego te miłe prądy przechodziły na grzbiet kota i tego z kolei wprawiały w drżenie, zwierzę zaś obdarzało chłopca niewinnym i prostodusznym spojrzeniem swoich głębokich, okrągłych i pełnych zdumienia ślepi. Potem kotek zamknął ślepkę, Mati też na chwilę zamknął oczy, chłonąc czubkami palców delikatne drżenie, jakie przebiegało falami przez ciało zwierzątka, kiedy zaczęło ono cicho i przeciągle mruczeć z zadowolenia, przy czym łagodnie, ale stanowczo podsuwało policzek i czoło, ocierając się nieustannie o dłoń, która je pieściła. Kotek otworzył ślepkę, a następnie znów je przymrużył, tak że na Matiego patrzyły tylko dwie zielonkawe szczeliny, mówiąc mu: „Tak. Właśnie tak. Proszę, głaszcz mnie dalej. O tak, przecież to nam obu sprawia przyjemność. Jeszcze. Tak, o tak, proszę, nie przestawaj”.

Wtem kotek puścił oko do Matiego, szybko, ale wyraźnie. Było to ukradkowe mrugnięcie oznaczające, że mają wspólny



sekrety; jak gdyby próbował dać mu do zrozumienia, że dobrze wie, jak bardzo jego futerko pociąga palce, które je głaszczą, i że doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak miłe doznanie przejmują teraz dłoń chłopca, znajdująca się między kocim futerkiem a palcami Mai, jak wielką przyjemność sprawia Matiemu ten dotyk, przyjemność oszałamiającą, jakiej nigdy dotąd nie zaznał, albowiem palce Mai, drgające na grzbiecie jego dłoni, i ciepło miękkiego futerka, głaskanego w tę i z powrotem, przyprawiały Matiego o ciepły dreszcz, który rozchodził się falami po całym jego ciele.

Błogi spokój ogarniał stopniowo chłopca i rozpraszał jego obawy; Mati uniósł oczy i zobaczył, że stoi już w obrębie murów, na dziedzińcu. Zobaczył też ogród, który krył się za murami, i uświadomił sobie, że jest naprawdę w środku, naprawdę znajduje się w twierdzy Nehiego, demona gór. Lecz zamiast strachu i trwogi odczuwał głównie zaciekawienie i bezbrzeżny zachwyt. Rozejrzał się i napawał oczy widokiem ogrodu przedstawiającego mu się teraz w całej okazałości.



21.

Przecudny ten ogród ogarniały już ze-
wsząd cienie, lecz cały był przepojony jasnością, zarówno
przez promienie zachodzącego słońca, jak i przez jaskrawe,
wielobarwne światło, które przedzierało się mocnymi snopami
spomiędzy drzew i krzewów, biło od rozkwitłych grządek, od
stawów, strumyków i małych kryształowych źródeł tryska-
jących tu i ówdzie z rozpadlin skalnych i ukrytych szczelin.

W całym ogrodzie rosły drzewa owocowe i ozdobne, a także
krzewy, sadzonki i zioła. Poniżej drzew wyrastały młode pa-
procie i kwiaty, a wszystko skąpane było w delikatnej, soczystej
zieleni rozkwitającej wszelkimi odcieniami pomarańcza, złota
i fioletu, czerwieni, zielonkawej i cytrynowej żółci, a nadto
błękitu, cynobru, szkarłatu i purpury.

Mati spojrzał na bujne korony drzew i po raz pierwszy
w życiu zobaczył i usłyszał, jak gromady ptaków rozprawiają
na całe gardło, jak śpiewają i przekrzykują się, rozpościerają
skrzydła i naraz wzbijają się w powietrze, wzlatują i przefruwa-



ją z gałęzi na gałąź. Ptaki wodne natomiast stały spokojnie nad brzegiem strumyka i pośrodku sadzawek, mając jedną nogę podwiniętą, a drugą zanurzoną w wodzie, w której raz po raz zanurzały również swoje różowe dzioby. Pierś Matiego napełnił wielki, niezmacony spokój, jakiego nie zaznał, jak daleko sięgał pamięcią – chyba tylko w pewnym mglistym, ukrytym gdzieś głęboko wspomnieniu o tym, że kiedyś miał w sobie spokój owiniętego w pieluszki i nakarmionego niemowlęcia, któremu zamykają się oczy, kiedy pogrąża się w błogostanie, zasypiając w objęciach mamy, a ona ciepłym głosem nuci mu kołysankę.

„Czyżbym kiedyś już tutaj był? Zaraz po przyjściu na świat? Albo nawet wcześniej?”

Ogród rozciągał się daleko w głąb i wszcz, aż do podnóży obsypanych kwiatami górskich stoków, muskających pocałunkiem ciemne zagajniki, sady i grządki warzywne. Tu i ówdzie przecinały je cienkie kreski strumyków, które wyglądały jak wplecione w tkaninę srebrne nitki. A ponad tym wszystkim kłębiły się roje drobnych owadów, które latając zygzakami, tworzyły szumiące wodospady bzyczenia, pobrzękiwania, furkotu i szelestu, jak gdyby polecono im rozpiąć nad całym ogrodem gęstą siatkę z drucików, żeby wszystkie te naprężone, a tak delikatne, że wręcz niewidoczne druciki dźwięczały i bzyczały w rzędistym śpiewie, który zrywa się i rozbrzmiewa za najlżejszym powiewem wiatru.

Pod krzakami kotłowały się przedziwne węże, poskręcane, zwinne, jakby obdarzone mnóstwem nóg. I drzemały tam sobie z otwartymi oczyma wielkie, leniwe jaszczurki. Między trawnikami a zagonami warzyw spacerowały, pasąc się spo-



kojnie, białe owieczki, żyrafy, antylopy i daniele i kicały gromady królików. A pośród nich, niczym grupy wczasowiczów przechadzających się spokojnie po ośrodku wypoczynkowym, snuły się tu i tam watahy leniwych wilków, jakiś niedźwiedź albo dwa, para lisów z bujnymi kitami i szakal o skudłonej sierści. Szakal ten podszedł znienacka do Mai i Matiego i pokazał im długi, bardzo czerwony język, który jakby wylewał mu się z gardzieli między dwoma rzędami ostrych, błyszczących zębów. Zaczął nagle ocierać się spiczastym łbem o kolano Matiego, raz po raz unosząc ku nim smutne brązowe oczy, i przypatrywał się im budzącym litość wzrokiem, jak gdyby usilnie ich o coś prosił, zaklinał się na wszystko, aż wreszcie Maja zrozumiała, pochyliła się i pogłaskała go po łbie, a nawet polaskotała trochę po szyi i poniżej uszu, po czym kilkakrotnie przesunęła ręką po jego grzbiecie od ciemienia po nasadę ogona.

Potem Maja i Mati przeszli koło czterech czy pięciu znużonych tygrysów, które polegiwały zwinięte w kłębek u dołu łąki, w bezruchu wpatrując się zielonymi ślepiami w głąb wieczornego spokoju, z łbami złożonymi na przednich łapach. Przez chwilę te senne tygrysy przypominały Matiemu starego Almona Rybaka, któremu zmęczona głowa opada na ręce nad kartkami zeszytu, kiedy pod wieczór wpółśpiący siedzi samotnie przy stole na dolnym skraju swojego ogrodu. Matiego przepełniła gorzka tęsknota, jakby nagle pragnienie, by usiąść na ławce Almona i zacząć mu opowiadać o tym wszystkim, opisać w najdrobniejszych szczegółach albo – jeszcze lepiej – zaprowadzić tutaj, na górę, żeby to zobaczył na własne oczy. Żeby dotknął starymi palcami. I przyprowadzić też Solinę



wraz z jej mężem niemowlakiem. I Danira z dwoma jego pomocnikami, którzy naprawiają dachy. I Nimiego. Pokazać to im wszystkim – całej wiosce, swoim rodzicom, starszym siostram, pani Emanueli – i zobaczyć ich miny, kiedy po raz pierwszy ujrzą ten ogród.

A oto wyszła im naprzeciw krowa: powolna i wyniosła, dostojna, wielce szacowna krowa przystrojona w plamy czerni i bieli. Szła ociężale pod górę, stąpając delikatnie i nieśpiesznie. Dystygowanym i pełnym godności krokiem przeszła spokojnie między drzemiącymi tygrysami, kiwnęła dwa, trzy razy łbem, jak gdyby ani trochę, wcale a wcale nie była zaskoczona – wprost przeciwnie, jakby wszelkie jej przewidywania się potwierdziły, a przypuszczenia sprawdziły. Teraz zaś potakiwała łbem z zadowoleniem, zarówno dlatego, że miała rację, jak i dlatego, że w swoich przekonaniach utwierdziła się już całkowicie i ostatecznie.



22.

Mati i Maja chłonęli wszystkie te cudowności szeroko otwartymi oczyma, nie mogąc oderwać wzroku od zakutych w kratkowane pancerze krokodyli na brzegu sadzawki i od małp, wiewiórek i papug, które dokazywały wśród gałęzi drzew miłych z wyglądu i rodzących smaczne owoce. Albowiem nad całym ogrodem, nad strumykami, trawą i koronami drzew, unosił się, wraz z trzepotem wróblích skrzydeł i gruchaniem gołębi, pewien nieuchwytny dla oka urok otulający wszystko pierzyną głębokiego, ciepłego i bezbrzeżnego spokoju, spokoju jakby z innego świata.

„Ale skąd właściwie wzięła mi się ta pewność, że już tutaj byłem? I jak to w ogóle możliwe?”

Tak doskonały, niezmacony i zupełny był spokój zstępujący wraz z wieczorem na cudowny ogród, że Maja i Mati nie zauważyli pewnego niemłodego już, niezbyt wysokiego mężczyzny, który odpoczywał tam, oparty o chropowaty pień drzewa. Miał lekko zgarbione plecy, gołą głowę, jego ogorzałą



twarz pokrywała przedziwna siatka głębokich i pogmatwanych zmarszczek, włosy zaś, prawie zupełnie siwe, opadały mu na ramiona. Mężczyzna ów stał samotnie na wieczornym wietrze w górnej części ogrodu i przyglądał im się z lekkim uśmiechem, smętnym i roztargnionym, jakby myślami był po części tu, a po części zupełnie gdzie indziej.

Ramiona miał pochylone, jeden bark nieco niżej od drugiego, a niezgrabne dłonie zwisały mu luźno po bokach, niczym po długiej i bardzo wyczerpującej pracy. Zawstydzona twarz mężczyzny nie była piękna; rysowała się na niej ostrożność, nieomal zakłopotanie: jak gdyby było mu na rękę, że Mati i Maja wcale go nie widzą.

Jak gdyby ich obecność trochę go onieśmiałała.

Tak właśnie stał ów nieznajomy, w zupełnym bezruchu, i oddychając powoli i głęboko, wodził wzrokiem za oczarowanymi oczyma dwojga dzieci, patrzył bacznie, jak ich zaciekawione spojrzenia wędrują po wspaniałościach ogrodu, zachwycając się wszystkim, co się w nim znajduje.

Zagadkowy, niemal przebiegły uśmiech mężczyzny pojawił się najpierw wokół oczu, a nie na wargach, z oczu zaś rozszedł się po głębokich zmarszczkach, rozjaśniając stopniowo wszystkie pełne fałd i bruzd krajobrazy jego twarzy.

Mężczyzna ten jednak nadal nie ruszał się ani nie odzywał.

Tylko jedna niebieskawa żyłka, cienka i niebywale delikatna, drżała na skraju jego czoła niby płochliwa rybka trzepocząca się pod powierzchnią wody.

Wreszcie Maja natknęła się na niego wzrokiem i osłupiała.



Zachowała wszakże zimną krew i tylko pochylając się nieznacznie, szepnęła do Matiego:

– Uważaj, Mati. Pod żadnym pozorem nie zerkaj teraz w tamtą stronę, bo ktoś tam stoi i na nas patrzy. Wydaje się niegroźny, tylko taki jakiś dziwny.



23.

Taki jakiś dziwny. – Nieufny mężczyzna powtórzył słowa, które Maja wyszeptała Matiemu na ucho. – Czyż nie tak właśnie mówiono o mnie przed laty, kiedy byłem jeszcze chłopcem? „Jest taki jakiś dziwny”, mówili, wykrzywiając twarz w grymasie ni to kpiny, ni to obrzydzenia. A czasami mówili też: „Patrzcie no, idzie ten przygłup”. Wszystko to działo się bardzo dawno temu, kiedy wasi rodzice byli mniej więcej w waszym wieku. A ja akurat bardzo chciałem być jednym z nich: cały czas bardzo się starałem być taki jak wszyscy. Być nawet bardziej „taki jak wszyscy” niż którykolwiek z nich. Ale im bardziej się starałem, tym większą budziłem pogardę.

Nieznajomy zaczął się do nich zbliżać, lecz po kilku krokach zawahał się, rozmyślił i przystanął pod figowcem; może obawiał się, że ich wystraszy albo że wyda im się odpychający. Albo może to jemu trudno było podejść. Tak czy inaczej, widząc, że dzieci przed nim nie uciekają, ale stoją w miejscu,



A wtedy mężczyzna zaczął opowiadać, jak to przed wieloma laty, kiedy był jeszcze dzieckiem, rówieśnicy zawsze go odpychali.

– Przecież w każdej klasie czy grupie – mówił – jest ktoś taki: niechciany, odszczepieniec, który z uporem próbuje się trzymać z innymi dziećmi, dokądkolwiek idą, i zawsze wlecze się kilka kroków za nimi, zakłopotany, onieśmielony, ale puszcza mimo uszu obelgi i drwiny, bo rozpaczliwie pragnie być przez nie przyjęty, należeć do nich, i w tym celu gotów jest zrobić wszystko, stać się służącym i chłopcem na posyłki, a nawet robić z siebie głupca, byle tylko je rozbawić. Chętnie nawet zostanie ich błaznem. Niech się z niego natrząsają do woli, niechby mu nawet trochę podokuczały, wszystko jedno: on i tak podaje im na dłoni, nie żądając niczego w zamian, swoje wzgardzone serce. Ale koledzy po prostu go nie chcą. I to bez żadnego szczególnego powodu. Nie chcemy go, i już. Kropka. I niech nam znika z oczu, byle prędzej. Ot, tak, po prostu. Bo nie jest taki jak my i do nas nie pasuje. Niechże już sobie idzie, dość tego, bo naprawdę nikt, ale to nikt go tutaj nie potrzebuje.

– U nas też jest ktoś taki. Nimi. Nimi Żrebak – powiedziała Maja, na co Mati odparł:

– Nie. Nimi to co innego. Nimi po prostu choruje na rżycę. Wszyscy się od niego odsuwają, bo niebezpiecznie jest zbliżać się do chorego. – I przechylając się do dziewczynki, dodał szeptem: – Zaraz się ściemni, Maju. Musimy spróbować się stąd wyrwać.

– Wyrwać? – zdumiała się Maja. – Przecież brama jest otwarta i nikt nas nie zatrzymuje. Możesz zejść, jeśli ci się śpieszy. Ja zostaję. Tu jest jeszcze wiele do obejrzenia.

Na to odezwał się ów mężczyzna:

– Na razie siadźcie sobie tu, na tym kamieniu. Napijcie się



jeszcze soku z granatów albo wody z figami i śniegiem. I nie obawiaj się, Mati, nadchodzącego zmroku. Wieczór zapadnie dzisiaj nieco później, żebyśmy mogli jeszcze porozmawiać... Oho, tylko się nie wystraszcie ślepcy! Zawsze czuje się trochę urażony, kiedy ktoś się go boi. Jest już bardzo sędziwy i prawie głuchy. Specjalnie dla was zadał sobie trud i wyszedł ze swojego tunelu, żeby was obwęchać. Posiedźcie chwilę spokojnie i pozwólcie mu, proszę, powęszyć. Przypatrzcie się, jakie ma drobne uszka i przednie łapki i jak delikatnie drga jego różowy nosek, zupełnie jakby to było szybko bijące serce. Wasz zapach zapewne obudził w nim wspomnienia z czasów, kiedy jeszcze jego rodziców nie było na świecie.

Mati przeniósł wzrok ze starego ślepcy na mężczyznę, a potem znów na ślepcę, i ponownie ogarnęło go ulotne wrażenie, że coś sobie przypomina, jakby przez mgłę. „Przecież ja tu już kiedyś byłem. Przecież to wszystko już mi się kiedyś przydarzyło. Byłem tu, ale wszystko zapomniałem i nawet teraz nie mogę sobie przypomnieć, co się właściwie stało. Ten człowiek wygląda na samotnego. Ale może to tylko pozory? Może szykuje zasadzkę?” Z bliska bowiem Matiemu przez okamgnienie wydawało się, że na pooranej zmarszczkami twarzy mężczyzny dostrzega przebłysk sprytu, jakby ten knuł jakiś podstęp, a stało się to wtedy, kiedy nieznajomy oznajmił ze śmiechem, że zmrok zapadnie dziś nieco później, aby mogli jeszcze porozmawiać.

„A jeśli on zamierza nas tu uwięzić? Na zawsze?”

Żyłaste palce mężczyzny wydały się naraz Matiemu podobne do poskręcanych korzeni, które gdy już się gdzieś oplotą i wrosną, to nigdy nie puszcza.



„A jeśli ten czarodziej w gruncie rzeczy chce nas tutaj zatrzymać, aby zemścić się na naszych rodzicach i wiosce? Albo nie tylko zatrzymać, ale czarodziejskim zaklęciem nas też zamienić w zwierzęta?”

– Zaraz zrobi się ciemno – powiedział Mati. – Ja chcę już do domu.

– A ja nie – odparła Maja. – Chcę jeszcze posłuchać. I popatrzeć.



24.

Później ów mężczyzna opowiedział im, jak to mając mniej więcej dziesięć i pół roku, zrezygnował z towarzystwa rówieśników, a także dorosłych, i zaczął spędzać całe dnie wśród kotów i psów, aż w końcu zaczął rozumieć język psi, koci i koński, a nawet nauczył się w tych językach rozmawiać.

Po dwóch, trzech tygodniach cała wioska orzekła, że biedaczysko zapadł na rżycę, i wszyscy uważali, żeby się do niego nie zbliżać. Wreszcie nawet jego rodzice spisali go na straty – tak bardzo było im nieprzyjemnie, kiedy ludzie im dokuczali. Cała wioska wytykała ich palcami, oni sami zresztą i bez tego się go wstydzili, w dodatku zaś trapiła ich myśl, że młodszy bracia, zbliżając się do niego, też mogą się zarazić.

Tak więc koniec końców rodzice i wszyscy dorośli pozwolili, by snuł się samotnie po lesie, wolny jak zapach albo wiatr, czy to dniem, czy nocą. „Ijurrriar!” – powiedział znienacka ów człowiek zmienionym głosem, a po chwili z krzaków wychy-



nał brunatny, kudłaty, gruby i niezgrabny niedźwiedź. Otarł się swoim masywnym łbem o rękę mężczyzny, popatrzył na Maję i Matiego wilgotnymi, pełnymi ciekawości, chęci zaprzyjaźnienia się, onieśmiałej skromności i lekkiego zadziwienia ślepiami, które jakby chciały się usprawiedliwić: „Przepraszam. Nie gniewajcie się, ja po prostu nie rozumiem, co to wszystko znaczy. Bardzo mi przykro, ale niczego właściwie nie rozumiem. Wybaczcie i nie oczekujcie po mnie zbyt wiele, przecież, bądź co bądź, jestem tylko misiem”.

Niedźwiedź niezgrabnym ruchem przewrócił się, położył na szerokim, kudłatym grzbiecie, wywijając łapami w powietrzu, i zaczął się ocierać o dywan trawy, pomrukując ciemnobrązowym basowym głosem, głosem jakby zimowym, głębokim, ale ciepłym. Mati prędko cofnął się trzy, cztery kroki i spróbował odciągnąć również Maję, lecz ona wysunęła rękę, uwalniając się także tym razem, i zbeształa go:

– Dość, zostaw mnie, Mati. Uciekaj już do domu, jeśli ci to nie odpowiada. Przecież nikt cię tu na siłę nie trzyma. Ja akurat bym chciała, żebyśmy się lepiej poznali.

Mężczyzna zaś powiedział:

– Ty jesteś Maja. Ty Mati. I ja się przedstawię. Jestem Nehi. Jestem demonem gór. Czarodziejem. A teraz poznajcie Szigiego. Nie trzeba się go bać. Szigi jest dość dziecinny niedźwiedziem, który czasami zaczyna ni stąd, ni zowąd tańczyć w deszczu, próbuje opędzić się od much przykrótkim ogonem bądź trawi długie godziny przyczajony w sitowiu nad strumykiem, gdzie łapą ochlapuje wszystkie przechodzące zwierzęta. Szigi, nie przeszkadzaj już. Jeszcze nie skończyłem. Z biegiem czasu – mężczyzna ciągnął swoją opowieść – nauczyłem się też



języków gołębi, świerszczy, żab, kóz, ryb i pszczoł. A po kolejnych kilku miesiącach, kiedy już zniknąłem i wywędrowałem, żeby wieść samotne życie w lesie jako dziecko gór, starałem się uczyć coraz to nowych języków zwierząt. Nie przychodziło mi to z trudem, ponieważ w językach zwierząt i ptaków jest o wiele mniej słów niż w językach ludzi, istnieje w nich wyłącznie czas teraźniejszy, nie ma ani przeszłego, ani przyszłego, są tam tylko czasowniki, rzeczowniki i wykrzykniki, żadnych innych części mowy. Po latach przekonałem się, że również zwierzętom zdarza się skłamać, żeby ratować się z opresji, przechwalać się i wzbudzać podziw lub zmylić swoją ofiarę czy wywołać strach, a czasami tylko po to, by oczarowywać i kokietować. Jak każdemu z nas. Zwierzęta mają specjalne słowa wyrażające radość życia, zapał, zachwyt i rozkosz. Nawet istoty, które uznaje się za nieme, jak na przykład motyle, świetliki, ryby czy ślimaki, mają pewne słowa, jednak nie wypowiadają ich, tylko przekazują przez najróżniejsze drobne drgnienia, które docierają do odbiorcy jedynie poprzez skórę, futro albo pierze, nie zaś przez ucho. Owe drgnienia przypominają niewielkie fale, jakie wywołuje liść opadający na powierzchnię stawu, kiedy jego wody są zupełnie spokojne i nieruchome. Niektóre ze zwierząt mają nawet słowa brzmiące niemal jak modlitwa: jednymi składają podziękowanie słońcu, innymi wiatrowi, jeszcze innymi deszczowi, ziemi, roślinom, światłu, ciepłu, pożywieniu, zapachom czy wodzie. Znają też słowa tęsknoty. Ale nie ma w językach zwierząt żadnych wyrazów, które by miały poniżać albo wyszydzać. Co to, to nie. Jeśli chcecie, Maju i Mati – powiedział, składając łagodnie swoje ciężkie i spracowane dłonie na grzbiecie kózki, która przysła i skuliła się,



by odpocząć wtulona w brązowe futro Szigiego – jeśli chcecie, spróbujemy was tego powoli nauczyć. Tak jak nauczyliśmy Nimiego, który znalazł do nas drogę i trafił tu przed wami. Tak, Nimi Żrebak, ten wiecznie zasmarkany Nimi, o którym wy wszyscy tam, na dole, mówiliście, że choruje na rżycę. W głębi duszy jednak, Maju i Mati, oboje wiecie już przecież od dawna, że nie ma takiej choroby jak rżycę. Rżycę wymyślono tylko po to, żeby nikt nie odważył się podejść. Aby kogoś odsunąć od innych. No i teraz wy dwoje będziecie naszymi gośćmi, moimi i wszystkich zwierząt, które żyją tu ze mną, w ogrodzie i w naszym górskim domu.

Bo tu zostajecie. Z nami.

Mężczyzna zamilkł na chwilę, po czym dodał cicho, zmienionym głosem, spokojnym i stanowczym, nie dopuszczającym jakiegokolwiek sprzeciwu czy odmiennego zdania:

– Teraz chodźcie za mną.

Nie czekał, by się przekonać, czy idą czy nie, lecz ruszył spokojnie w stronę domu. I nie oglądając się za siebie, kontynuował od miejsca, w którym przerwał, i opowiedział im, jak to przed laty kochał się w pewnej dziewczynie ze swojej klasy, Emanueli, ale nigdy jej o tym nie powiedział i dlatego jego miłość pozostała niespełniona. Swego sekretu nie wyjawiał też nikomu innemu, ponieważ bał się, że gdyby tylko jego skrywane uczucie wyszło na jaw, wszyscy, a zwłaszcza sama Emanuela, zalaliby go potokiem jeszcze gorszych zniewag, drwin i szyderstw.

Kiedy Mati i Maja, wraz z niedźwiedziem Szigim i kózką Sisą, weszli w ślad za mężczyzną do domu, przekonali się,



że w gruncie rzeczy nie jest to zamek, lecz przestronna izba z wysokim stropem – wielka, ciepła izba w całości zbudowana z niewygładzonych belek, wyposażona jedynie w kilka prostych, najniezbędniejszych mebli wyciosanych z pni i mocnych gałęzi, które okrywała jeszcze szorstka kora.

Posadziwszy Maję i Matiego po dwóch stronach solidnego, grubo ciosanego stołu, pod którym zasnęły tymczasem wtulone w siebie niedźwiedź i koza, gospodarz opowiedział im, jak to pewnej deszczowej i mglistej nocy wreszcie uciekł z wioski i własnego domu. Z początku chował się po lasach, później natomiast znalazł sobie miejsce tutaj, na górze, wśród zwierząt, które go kochały, pomagały mu i chroniły go, bo również wielu zwierzętom dokuczano tam, na dole. Niekiedy wręcz znęcano się nad nimi.

– Tak więc owej deszczowej, mglistej nocy powędrowaliśmy wszyscy długim pochodem do górskich lasów – mówił mężczyzna – bo zwierzęta postanowiły zamieszkać tutaj ze mną. A teraz podejdźcie do okna, żeby zapoznać się z miejscem, w którym macie odtąd mieszkać. Rodzą się tutaj najróżniejsze smakowite owoce, a tym oto strumykiem płynie woda z roztopionych śniegów, czysta jak dźwięk fujarki w górach. Tam z kolei jest mała sadzawka. Już niedługo będziecie mogli się rozebrać i w niej kąpać. Nie wstydzicie się przed sobą. Tu, u nas, nagość nie jest żadnym wstydem. Przecież pod ubraniem wszyscy jesteśmy zupełnie nędzy, tylko od małego wychowywano nas tak, żebyśmy się wstydzili wszystkiego, co prawdziwe, a szczycili wszelkim kłamstwem. Uczono nas też, żeby nie cieszyć się z tego, co mamy, lecz tylko i wyłącznie z tego, co my mamy, a inni nie. A co gorsza, wpajano nam również od



dzieciństwa rozmaite krzywdzące sądy, zaczynające się zawsze od słów: „Przecież oni wszyscy...” – Mężczyzna smutno się uśmiechnął i zadumał na chwilę. – Ale tutaj, u nas, jedyną hańbą jest szyderstwo. – I nagle dodał innym głosem, ciemniejszym i bardziej przytłumionym: – A jednak zdarza mi się, prawie co noc, że budzę się i schodzę w ciemności, żeby się na nich odegrać i napędzić im stracha. Kiedy zgasną światła, zjawiam się w ich oknach jak kościotrup albo skrzypię podłogami czy chwieję więźbami dachów, żeby mieli koszmarne sny. Albo żeby zbudzili się oblani zimnym potem, przekonani, że oto sami zarazili się rżycą. A raz na kilka lat zwabiam też tutaj dzieci. Jak Nimiego Żrebaka. Albo was.



25.

Maja wahała się chwilę, zanim ostrożnie zadała swoje pytania:

– Ale dlaczego właściwie postanowił pan zaraz uciec? Dlaczego nie próbował pan znaleźć sobie chociaż jednego czy dwóch przyjaciół? Albo przyjaciółki? Czy to możliwe, by nawet nie przeszło panu przez myśl, że warto chociaż spróbować coś zmienić? Albo zmienić się samemu? Jak to? Czyżby nigdy nie był pan ciekaw i nie próbował pojąć, co właściwie ściąga na pana wszystkie ich drwiny? I dlaczego to właśnie pan? Trochę za dużo pytań naraz? Nie? Mama zawsze się na mnie złości: „Co ty tak ciągle pytasz i pytasz? Przestańże wreszcie! Od każdego z twoich pytań robi nam się nowa rysa na ścianie”.

Mężczyzna nie patrzył ani na Maję, ani na Matiego, nie śpieszył się też z odpowiedzią, lecz utkwiał gorzkie spojrzenie w czubkach swoich palców, w wielkich i ciemnych paznokciach. Na wszystkie pytania Mai odparł trzema słowami:

– Było mi ciężko.



Po chwili dodał jeszcze:

– W sumie ja też, tak samo jak ty, bez końca zadawałem pytania. Ale przysparzało mi to tylko drwin. A szczelin w ścianach zrobiło się w końcu tak wiele, że z mojego domu już nic nie zostało.

– Maju, wystarczy – rzekł Mati, lecz ona odpowiedziała obruszona:

– Co wystarczy? Czemu wystarczy? Mati, przecież on tak się lituje nad sobą, jakby całkiem zapomniał, że sam stał się utrapieniem dla naszej wioski. Nawet teraz, po tylu latach, kiedy się go pyta, dlaczego uciekł, unika odpowiedzi.

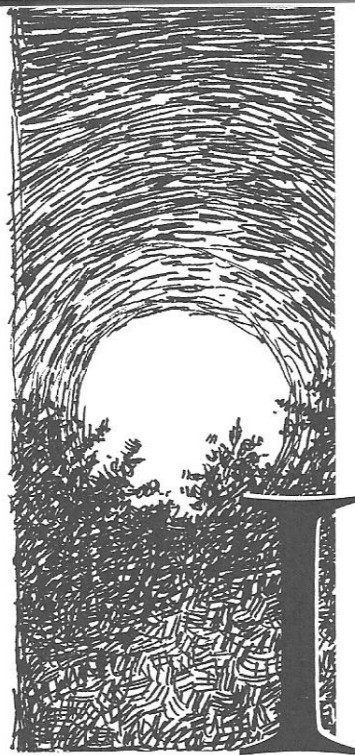
– Ale Nimi też uciekł – zauważył Mati. – Zwierzęta także same uciekły. Przecież wiesz, jak to jest, kiedy wszyscy zaczynają się nad kimś pastwić i drwić z niego. I ja nieraz myślę o tym, żeby stamtąd uciec: od domu, od rodziców, od dzieci, od dorosłych, od swoich sióstr, od wszystkich. I niech sobie myślą, że choruję na rżycę. Uciec i żyć samotnie w leśnej jaskini, tak aby nikt mi nie mówił przez cały dzień, co wolno, a czego nie wolno, i „jak ci nie wstyd”.

Na to Maja rzekła:

– Ale kiedy marzysz o ucieczce, Mati, nie chcesz zabrać ze sobą wszystkich roślin. Albo całej wody. Albo światła. Nie marzysz też o tym, żeby wracać po nocach i mścić się na wszystkich.

Zapadła cisza, aż wreszcie odezwał się Nehi:

– Przecież wy właściwie też uciekliście i przez was cała wioska drży teraz ze strachu, a wasi rodzice zamartwiają się na śmierć.



26.

tak przesiedzieli długie wieczorne godziny u Nehiego, króla lasów. A wieczór ciągnął się i ciągnął niby zaczarowany, tak że po upływie kolejnych wielu godzin nadal pieściło ich miękkie wieczorne światło, po nim zaś nadeszło światło chylącego się słońca, a nieco później nastał zmierzch, który trwał nieustannie i się nie kończył, lecz mieniając się różnymi barwami, malował cały nieboskłon tęczą subtelnych odcieni, jak gdyby tu, na górze, czas stanął w miejscu. Przestał istnieć. Na zawsze. Wewnątrz, o czym była już mowa, okazało się, że to nie żadne zamczysko, tylko przestronny budynek z grubych bali otoczony zewsząd ogrodem. Mati i Maja spacerowali po tym ogrodzie, następnie wracali do domu, by najeść się, napić i porozmawiać, a później znów wychodzili, żeby spędzić trochę czasu w towarzystwie zwierząt, ptaków, drobnych żyjatek i gadów. Nehi bowiem, zaraz po tym, jak ich nastraszył, roześmiał się, rozpogodził, a nawet poczęstował ich soczystymi owocami, jakich jeszcze nigdy nie



jedli. Światło powoli gasło, jednakże mrok nadal się ociągał. Sam wieczór jakby kołował w tę i z powrotem, przetaczając się leniwie z grządki na grądkę, pomiędzy ścieżkami, był niezdecydowany, jak gdyby nie chciał ani być, ani nie być.

„Nie pamiętam, ale też nie do końca zapomniałem, myślał Mati, że przebywałem już kiedyś w czasie, który był trochę podobny do tego, w czasie, kiedy nie było ani dnia, ani nocy, ani światła, ani nieświatła. Właściwie to wcale nie był czas, lecz wprost przeciwnie – jakby opiekuńcza powłoka, która otaczała mnie ze wszystkich stron i całego otulała. We śnie? W chorobie? Kiedy byłem mały? W gorączkowych majaczeniach? Kiedy byłem niemowlęciem? Albo jeszcze wcześniej, zanim się urodziłem?”

W dzieciństwie Nehi, który nosił wtedy imię Naaman, zawsze litował się nad wszystkimi zwierzętami, troszczył się o nie, dokarmiał je, swoją troską, już jako cztero- czy pięcioletni chłopiec, otaczał nawet muchy, mrówki i ryby w strumieniu.

– I nawet z tego powodu dokuczali mu we wsi – rzekła Maja.

Słowa te wypowiedziała tak, jakby dobrze wiedziała.

– Oni tam jeszcze o tym nie zapomnieli – odparł Mati – ale też nie pamiętają. Chyba powinno istnieć jeszcze jedno słowo, takie specjalne, które by znaczyło i „pamiętać”, i „zapomnieć”. Czasami się zdarza, że któreś z naszych rodziców zaczyna ni stąd, ni zowąd naśladować dla swojego dziecka głosy zwierząt i ptaków. Ale już po chwili opamiętuje się, poprawia i zaraz wyjaśnia, że przecież zwierzęta są tylko w bajkach. A potem wzdycha z żalem, że pani Emanuela zaprzęta nam myśli ptakami, które ma w tej swojej biednej głowie.



Kiedy Mati powiedział, że brakuje takiego słowa, które znaczyłoby zarówno „pamiętać”, jak i „zapomnieć”, Maja przypomniała sobie, jak jej mama, Lilia, rozsypuje pod koniec dnia okruszki dla ptaków, których nie ma, i rzuca do strumyka kromki chleba dla ryb, które zniknęły dawno temu.

„A przecież właśnie teraz dzień dobiega końca. Właśnie w tej chwili, pomyślała, mama stoi samotnie nad brzegiem strumienia i niedługo naprawdę zaczną się tam o nas martwić. A może tam, na dole, minął już tymczasem niejeden dzień, po którym zapadła noc, po niej zaś wstał kolejny dzień, słońce być może niejeden już raz zachodziło, by znowu wzejść i zająć, wszyscy zdążyli się pogodzić z tym, że nas nie ma, i tylko tutaj czas stanął w miejscu? A sam strumyk, myślała Maja, strumyk nigdy nie odpoczywa, pluszcze i kipi bez przerwy dniem i nocą, wiję się między podwórkami wioski i bulgocząc, płynie uparcie dalej, ku dolinie, biegnie po stoku i zostawia białą pianę na brzegach, jak gdyby chciał uciec od nas jak najdalej, w dół, ku jakimś spokojnym dolinom, i tylko na chwilę zatrzymuje się u nas, żeby przekląć wioskę”.

– Niedługo będziemy musieli wracać – powiedziała Maja. – Zaczną się tam o nas martwić, pomyślą, że spotkało nas jakieś nieszczęście.

– Jeszcze tylko trochę – rzekł Mati. – Niech dokończy swoją opowieść.

Mężczyzna zaproponował:

– Poprosimy zmrok, żeby jeszcze zaczekał. Już dawno uzgodniliśmy z tym wieczorem, żeby się nigdzie nie śpieszył.



27.

Ale pan wyrządził nam straszną krzywdę, zabierając wszystkie zwierzęta – powiedziała Maja. – Zabrał pan nawet te, nad którymi nikt się nigdy nie paścił. Zabrał pan nawet te, które wszyscy u nas lubili i którym dobrze było z nami, jak na przykład psa Almona albo kotkę Emanueli z trojgiem kociątek. Urowadzenie zwierząt było, moim zdaniem, czymś okrutniejszym niż szyderstwa, jakie przyszło panu znosić. A kiedy postanowił pan się zemścić, nie zatrzymał się pan chociaż na chwilę, żeby zadać sobie pytanie, na kim właściwie ma to być zemsta? Na szydercach? Na tych, którzy znęcali się nad zwierzętami? Czy może właśnie na Almonie i na Solinie, i na mojej mamie, i na Emanueli, o której w dodatku nam pan mówi, że ją kochał?

Naaman uniósł ramiona, jakby próbował schować między nie szyję razem z głową. I w jednej chwili jakby zbrzydł, dosłownie na ich oczach. Jego dłonie zaczęły biegać niespokojnie, czegoś szukać, jak gdyby błagały, by pozwolono im przestać



być dłońmi, by dać im kryjówkę, zezwolić im uciec od właściciela i już do niego nie wracać. A kiedy Maja wspomniała o Emanuelu, w kąciку ust Nehiego zjawił się nagle osobliwy uśmiech, który wydawał się zarazem nieszczęśliwy i podły. Był to grymas wyrażający nikczemność, a jednocześnie błagający o odrobinę sympatii.

– Co, niedobrze wam tutaj? – mężczyzna spytał nagle urażony. – Nie chcecie zostać? Nawet na trochę? Dobrze. Idźcie. Wszystko mi jedno. Idźcie sobie. W końcu nie jestem tu sam. Idźcie. Zatrzymam zmrok, żeby was nie ogarnął, zanim dotrzecie do domu. Idźcie. Nie ma sprawy. Idźcie. Gdybym naprawdę pragnął zemsty, mógłbym was tu zatrzymać na zawsze. Albo przynajmniej w odpowiedzi na wasze pytania zadać kilka własnych, wcale niełatwych. Dlaczego, na przykład, wszyscy tam pozwalacie, by rodzice was uciszali, ilekroć próbujecie się dowiedzieć, co tak naprawdę się stało, zanim przyszlście na świat? Czemu zawsze pozwalacie im zmieniać temat i mówić o czymś innym? Może dlatego, że wcale tak bardzo wam nie zależało, by się tego dowiedzieć? Może też baliście się poznać prawdę? Bo tak było łatwiej: żeby rodzice was okłamywali i nie składali na wasze młode barki brzemienia swoich tajemnic. Nie tylko o was chodzi, lecz o wszystkie dzieci z wioski. Było to wam nawet na rękę, żeby rodzice zachowali wstyd i poczucie winy dla siebie, a was tym nie brukali. Czyż nie? A może nawet domyślaliście się prawdy, ale baliście się swych przeczuć? Bo gdyby te domysły okazały się prawdziwe, to przecież od tego dnia nikomu nie byłoby wolno już nigdy dokuczać ani szydzić. A jak mielibyśmy żyć i się bawić, nie poniżając kogoś



od czasu do czasu? Nie pastwić się trochę, nie wyśmiewając,
nie depcząc czasami innych?

– Ano właśnie – odparła Maja. – Niech pan tylko popatrzy,
panie Nehi. Przecież teraz sam pan stoi przed nami i szydzi.
I nawet się to panu podoba, prawda?



28.

Z samotności Naaman nauczył się rozmawiać ze zwierzętami w ich językach. Kilka lat później, kiedy cała wioska orzekła, że jest chory na rżycę, i zaczęła odsuwać się od niego, a nawet obrzucać go z daleka odłamkami dachówek i kamieniami, znalazł sobie jaskinię w górach i żył w niej samotnie, żywiąc się grzybami i jagodami leśnymi. Tylko co jakiś czas, nocą, czekał, aż wszyscy mieszkańcy wioski pozamykają się w swoich domach, a wtedy schodził, by snuć się jak cień po jej pogrążonych w mroku zaułkach.

Do dzisiaj niekiedy jeszcze schodzi. W ciemności. Schodzi dopiero, kiedy wszyscy już znajdują się za swoimi żelaznymi okiennicami i żelaznymi zasuwami. Przychodzi powalęsać się po wiosce, bo trochę mu tutaj smutno, mimo całej miłości, jaką darzą go zwierzęta, i mimo wszystkich cudowności ogrodu.

Pośród mroku, w bezksiężycowe noce, krąży w tę i z powrotem po pustych zaułkach, a czasem spacerują tam na czubkach palców obaj, Nimi i on. Podchodzą na chwilę do

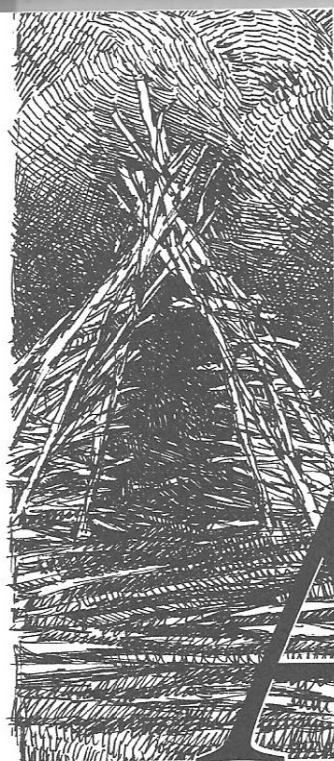


tego czy innego domu i zaglądają przez szczeliny okiennic, aby popatrzeć na rodziny, które w spokoju czynią ostatnie przygotowania do spoczynku.

Bo miło jest posłuchać zza zasłony bajki, którą ojciec czyta córeczce na dobranoc, albo matki, która siedząc w kącie łóżka, śpiewa synkowi kołysankę, ściskającą nagle Nehiego za stare serce. I miło jest przysłuchiwać się czasami zza półprzymkniętego okna sennym wieczornym rozmowom, jakie toczą zmęczeni małżonkowie, popijając herbatę w ciepłym zaciszu swoich pokoi. Albo kiedy domownicy siedzą i czytają, zatopieni w nocnej ciszy, od czasu do czasu zamieniając kilka słów, które Nehiego chwytają za serce, a Nimiemu wyciskają łzy z oczu; słów najzwyklejszych, na przykład: „Wiesz, bardzo pięknie wyglądasz w tym kwiaciastym szlafroku” albo „Zszedłeś w końcu na dół i naprawiłeś te schodki do piwnicy. Tak się cieszę, bardzo ci za to dziękuję” czy też „Bajka, którą opowiedziałeś dzisiaj dziecku na dobranoc, była taka subtelna i piękna. Przypominała mi czasy dzieciństwa”.

– Tak sobie wędruję nocą między opustoszałymi podwórkami, dwie, trzy godziny, samotnie, a czasami z Nimim, póki nie zgaśnie ostatnie światło w wiosce, w oknie Almona. Bo trochę jestem zazdrosny. Zazdroszczę wszystkiego, czego nigdy nie miałem i już nigdy mieć nie będę.

– Wychodzi na to – powiedziała Maja – że tu, na górze, też bywa dość smutno.



29.

Ależ ja ich wcale nie zabrałem – zaprotestował Nehi. – W każdym razie nie wszystkie. Pewnej nocy zwierzęta, co do jednego, wyniosły się z wioski i powędrowały za mną wysoko w góry, do lasu. Nawet te, które lubiły swój dom i bardzo się wahały, czy zostać, czy odejść. Tak jak Zito, pies Almona Rybaka, i jak Tima, cętkowana kotka Emanueli, ona i jej kocięta. Nawet one postanowiły w końcu przyłączyć się do mnie, razem z innymi. Nie dlatego, żebym na nie wszystkie rzucił czary, ani dlatego, że chciałem się zemścić, lecz dlatego, że również wśród zwierząt panuje strach, wam też zapewne dobrze znany – strach, by nie odróżniać się od innych, nie zostawać, kiedy inni odchodzą, albo nie odchodzić, kiedy wszyscy zostają. Nikt nie chce się znaleźć poza gromadą ani być wykluczonym ze stada. Wystarczy, że raz czy dwa odsuniesz się od grupy, a nie dopuszczą cię z powrotem. Bo już jesteś chory na rżycę.

Na początku Naaman zbudował sobie z gałęzi niewielki



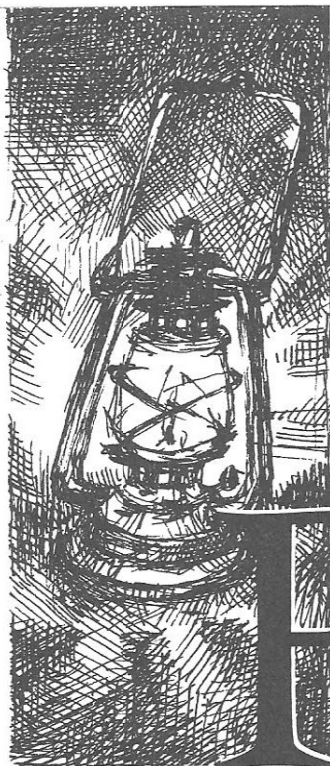
szalas na polanie, wysoko w górach, a zaprzyjaźnione z nim zwierzęta troszczyły się, by zaspokajać wszystkie jego potrzeby: owce i kozy poily go swoim mlekiem, ptaki przynosiły jajka, pszczoły dostarczały miodu, potok dawał wodę z topniejących śniegów, wiewiórki zbierały dla niego owoce i leśne jagody, a małe norniki wykopywały i znosiły mu ziemniaki. Nawet mrówki długimi karawanami dźwigały z pól w dolinie ziarna pszenicy, aby mógł sobie upiec chleb. Wilki i niedźwiedzie strzegły go i broniły. I tak żył długie lata z dala od ludzi, otoczony miłością żywych stworzeń, małych i dużych. Żaby skróciły mu imię z Naaman na Nei, szakale zaś i nocne ptaki wymawiały je „Nehi”, to znaczy „zawodzenie”.



30.

Przęd wieloma laty, w pewnym ukrytym wąwozie, za siedmioma łańcuchami gór i siedmioma głębokimi dolinami, podczas jednej ze swoich wędrówek po pustkowiach Nehi odkrył niewielki krzew, który wydawał białawe i fioletowe owoce o smaku przypominającym do złudzenia smak mięsa. Owoce tego krzewu nazwał kornikówkami. Jego nasiona zasiał w całym ogrodzie, pielęgnował je, rozmnażał i rozkrzewiał, ponieważ okazało się, że wszystkie drapieżniki lubią smak kornikówek i zjadają je z apetytem, tak że nie muszą już w ogóle polować na słabsze zwierzęta. Ani nawet nie mają na to ochoty. Tak więc Nehi zdołał powoli przyzwyczaić tygrysa, by bawił się z kózkami, wilka zaś – by doglądał stad owiec, a nawet sypiał między nimi, grzejąc się w ich miękkim runie w czasie chłodnych nocy. Żadne zwierzę w całym lesie już nie polowało i żadne nie bało się już drapieżników. Ale nie zapomniały zupełnie.





31.

Po kolejnym spacerze w ogrodzie Maja i Mati umieli już powiedzieć kilka słów w języku wróbli i jedno czy dwa zdania po kociemu i krowiemu, rozumieli nawet pojedyncze słówka z języka much. Nehi, a wraz z nim wszystkie zwierzęta, usilnie prosili dzieci, by zostały z nimi jeszcze, chociaż na kilka tygodni.

Mati jednak ujął Maję za rękę i powiedział:

– Oni tam się o nas martwią. Nie powinniśmy dawać im powodów do strachu.

Teraz również Mati przypomniawszy sobie, że właśnie w tym czasie, w tej chwili, o zmroku, zamykają się wszystkie domy w wiosce, zatraskują się kolejno wszystkie okiennice, a wszystkie drzwi ryglowane są na dwie, trzy żelazne zasuwę. Rodzice na pewno bardzo się o nich boją, być może cała wioska wyszła z lampami, by ich szukać, a kto wie, czy nawet nie zdążyli już zrezygnować z poszukiwań i teraz wszyscy zamykają się w domach, każda rodzina za swoimi kratami i żelaznymi okiennicami.



Maja i Mati poprosili zatem Nehiego, aby posłał z nimi rączą łanię albo psa, żeby wskazały im drogę w dół stoku, do domu. Oboje oczywiście gorliwie zapewniali, że nigdy, prze-nigdy nie opowiedzą nikomu o tym, co tu widzieli, ani o tym, co słyszeli w kryjówce demona gór, i że nie wspomną słowem o wszystkich cudach, jakie oglądali w jego ogrodzie.

Jednakże Nehi znów uśmiechnął się do nich z zadumą. Jego uśmiech był teraz skromny, niemal wstydlivy, a do tego smutny, choć równocześnie miał w sobie coś przebie-głego. Uśmiech ten pojawił się nie na wargach, lecz między zmarszczkami wokół oczu, następnie rozszedł się po siatce bruzd pokrywającej jego policzki, by wreszcie zatrzymać się w kącikach ust. Po chwili Nehi powiedział, że nie muszą skła-dać takiej obietnicy. Przecież nawet gdyby opowiedzieli tam o wszystkim, nie szczędząc najdrobniejszych szczegółów, kto by im uwierzył? Wzbudziliby tylko śmiech i drwiny, gdyby naprawdę opowiedzieli o wszystkim, co tu ujrzeni. Karą dla niedowiarków jest to, że wiecznie we wszystko powątpiewają, nie dowierzając nawet własnym wątpliwościom. Natomiast karą dla podejrzliwych jest to, że dniem i nocą wszystkich podejrzewają. I to nawet siebie, ba, nawet własne podejrzenia.

– Kiedy pani Emanuela albo Almon Rybak zaczynają opowiadać swoje historie o zwierzętach – rzekł Mati – zaraz wszyscy się z nich natrzęsają. I dorośli, i dzieci. Ale zdarza się, że któryś z dorosłych nagle się zapomni, może tknięty żalem albo tęsknotą, i zaczyna opowiadać różne rzeczy, których chwilę później będzie się wypierał. Zawsze znajdzie się ktoś, kto zaczyna, a wszyscy go uciszają. Jednak za każdym razem jest to ktoś inny. A czasem któreś z dzieci przychodzi do klasy

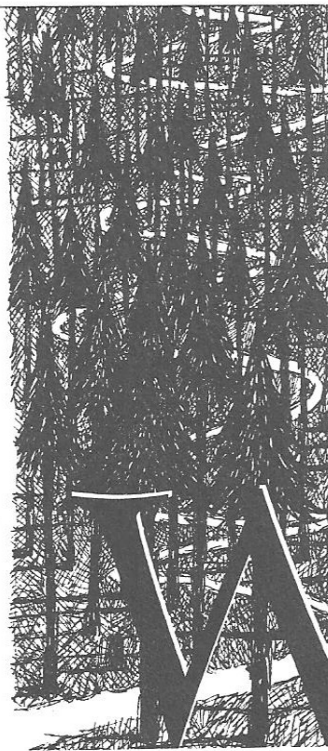


przed lekcjami i opowiada wszystkim, jak to nad ranem, kiedy jeszcze do końca się nie obudziło, zdawało mu się, że słyszy z daleka świergot albo bzyczenie, a może cykanie świerszcza. Natychmiast wszyscy je uciszają, żeby nie denerwowało ich takim gadaniem. Czyżby rodzice zaprzeczali wszystkiemu, wstydząc się tego, co się stało? A może oni tam postanowili całkowicie wymazać to z pamięci, aby powstrzymać ból? Ale wydaje mi się, że nikt tak naprawdę nie zapomniał, o czym to cała wioska postanowiła nie pamiętać.

Wreszcie Nehi poprosił ich, żeby opowiedzieli trochę o życiu, jakie toczy się w wiosce za dnia. Bo on przychodzi tam tylko pod osłoną nocy. Żeby opowiedzieli mu, jak wygląda kamienny plac w długie letnie wieczory, między światłem dnia a światłem zachodzącego słońca. A jak jest na placu, gdy zjawiają się tam Danir Dekarz ze swoimi pomocnikami, i jeszcze chłopcy i dziewczyny, żeby porozmawiać, napić się razem piwa, a czasami też pośpiewać pół godziny albo godzinę. I jak się miewa Almon Rybak. Czy nadal spiera się z drzewami w sadzie. Czy nadal siada i struga scyzorykiem figurki zwierząt z drewna – któregoś dnia z trudem powstrzymałem się – powiedział – by nie odczekać do północy, tak bardzo chciałem znaleźć się za dnia w jego ogrodzie warzywnym, i postać tam godzinę, dwie z rozłożonymi ramionami, jak krzyż, odrzucić na bok stracha na wróble i samemu przebrać się za niego. Przecież Almon jest już prawie ślepy, więc raczej nie zauważyłby różnicy i podyskutowalibyśmy trochę, on i ja. A o czym rozmawiają kobiety w sklepie spożywczym? O czym radzą praczki nad załomem strumienia? Jak się teraz miewa Emanuela? Co z tym miejscem nad wodą, gdzie co rano o dzie-

siątej schodzą się staruszkowie, by posiedzieć razem na ławce i wypalić fajkę? Gdybym się nie obawiał, że na mój widok rzucą się do ucieczki z okrzykami przerażenia, być może kiedyś mimo wszystko zaszedłbym tam w ciągu dnia. Chociaż raz. Zakradłbym się, żeby posiedzieć trochę między nimi, wziąć udział w ich sprzeczkach o wspomnienia i nawdychać się aromatycznego dymu z ich fajek. Może są wciąż wśród nich tacy, którzy mnie jeszcze całkiem nie zapomnieli?

– Jeśli ktoś pamięta – odparła Maja – śmieją się z niego. Dlatego wolą milczeć.



32.

Wyobraźcie sobie – powiedziała Maja do Matiego i Nehiego, który w przyćmionym świetle zapadającego zmierzchu odprowadzał ich do domu ścieżką wijącą się przez las po stoku góry – wyobraźcie sobie, co to będzie, kiedy pewnego dnia wróci pan wreszcie do wioski, a razem z panem wrócą nagle wszystkie zwierzęta, które opuściły nas wiele lat temu i wywędrowały z panem na tę górę. Wyobraźcie sobie tę panikę, to zdumienie i osłupienie, ale też nieopisaną radość!

– I znów wróble i szczygły będą u nas zakładały gniazda na gałęziach drzew – rzekł Mati – wokół gołębników będą fruwały gołębie, nad ranem będzie słyszeć krakanie kruków, a na wszystkich podwórkach w wiosce będzie się naprawiać stare obory, rozpadające się kurniki, stajnie, zagrody, wiaty i owczarnie, znów na naszych podwórkach i uliczkach będą szczekały psy, wokół uli zabrzęczą roje pszczoł.

– Stary Almon – Maja na to – znów będzie mógł siedzieć ze swoim ukochanym psem nad brzegiem strumienia i gawędzić



z rybami, które wróca, i nawet jego sędziwy strach na wróble, zamiast wadzić się całymi dniami z rybakiem, zacznie wreszcie sprzeczać się z prawdziwymi ptakami.

– A krawcowa Solina – dodał Mati – będzie mogła swojemu mężowi Ginomowi dać w prezencie kotka. Albo kózkę. Albo wiewiórkę.

– Moja mama, piekarka – powiedziała Maja – będzie się przechadzać po uliczkach wioski otoczona chmurą ptaków i rozsypywać im okruszki, pani Emanuela będzie jej machać na powitanie ze swojego balkonu, a może, jeśli pan też powróci, wtedy może, kto wie...

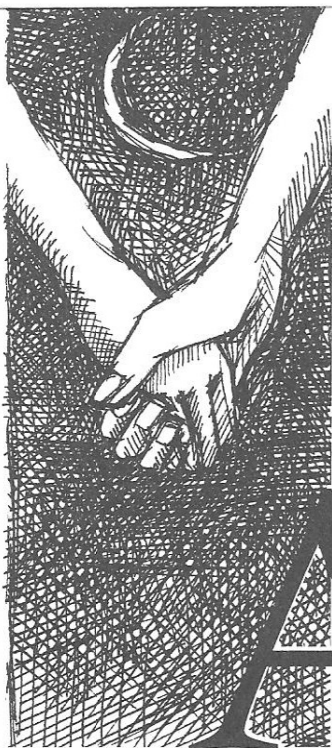
Nehi słuchał tego wszystkiego w milczeniu. Mała niebieskawa żyłka albo tętnica zdrząła mu w kącie czoła, jak gdyby było tam żwawe serduszko pisklęcia. Po chwili jednak odezwał się swoim chropawym głosem, niskim i głębokim, miłym jak ciepła kuchnia w zimowy wieczór:

– A co, jeśli znów zaczną drwić? Albo się znęcać? Co będzie, jeśli znów obudzi się we mnie pragnienie, by dokuczać i robić na złość, żeby odegrać się na wszystkich? – Przerwał na moment, po czym dodał: – A co będzie, jeśli rośli i krzepcy chłopci, ci, których rodzice uczyli się ze mną w klasie u pani Rafaeli, matki waszej nauczycielki Emanueli, znów zaczną okładać psy pałkami, smagać konie batem i truć bezpańskie koty, a myszy topić w beczkach z pomyjami, i znów zaczną chodzić ze strzelbami do lasu, żeby mordować sarny, koziorożce i lisy, handlować ich skórą i zastawiać najróżniejsze sidła na dzikie gęsi i króliki? I znów będą zarzucali w potoku sieci na ryby?

Kiedy zeszli niżej, pięć czy sześć zakosów w dół ścieżki,

która ginęła w gęstniejącym coraz bardziej cieniu leśnych drzew, Naaman powiedział jeszcze:

– Oczywiście, że krowy wszyscy przyjmą z powrotem z radością, konie z otwartymi ramionami, tak samo kury zносяce im jajka, kozy, gęsi, owce i gołębie. Tak. I niektórzy z nich z pewnością znów bardzo się przywiążą do swoich psów, kotów i śpiewających ptaków. To i owszem. Ale co poczną ze szczurami? Z robakami? Co spotka tam karaluchy, komary i domowe pająki? Co stanie się tam z Nimim? I ze mną?



33.

A kiedy dotarli na skraj lasu, do miejsca, skąd widać już było pierwsze zabudowania wioski, Nehi powiedział:

– Nadchodzi noc. Już się tam o was martwią. Idźcie do domu, a jeśli zechcecie, możecie od czasu do czasu odwiedzić naszą górską kryjówkę, pobyc z nami kilka godzin, cały dzień albo i dłużej. Tymczasem zaś strzeżcie się bardzo, żebyście i wy nie zarazili się chorobą pogardy i szyderstwa. Przeciwnie: może spróbujcie powoli odwozić swoich kolegów, przynajmniej niektórych, od dokuczania. Rozmawiajcie z nimi. Rozmawiajcie również z tymi, którzy obrażają innych albo wręcz znęcają się nad nimi, i ze wszystkimi, którzy cieszą się z cudzego nieszczęścia. Pomówcie, proszę, z każdym, kto zgodzi się tego wysłuchać. Spróbujcie porozmawiać nawet z tym, kto drwi z was, potępia was i wami gardzi. Nie bierzcie sobie tego do serca, ale wciąż na nowo próbujcie z nim o tym mówić. Aż pewnego dnia nastąpi być może w was jakaś głęboka zmiana,



a my wtedy zejdziemy z góry. Może narodzi się w nas nowe serce i wszystkie stworzenia, ludzie, zwierzęta, ptaki, wszystkie istoty mięsożerne, zamiast polować, przywykną do jedzenia kornikówek. Wtedy i my, ja ze wszystkimi swoimi przyjaciółmi, a nawet Nimi Żrebak, będziemy mogli wyjść z leśnych ostępów, by wrócić do wioski i spędzić resztę życia w jej domach i na jej podwórkach, na polach, pastwiskach i nad brzegiem potoku, moja żądza zemsty rozsypie się i opadnie ze mnie jak stara skóra z węża, będziemy pracować, kochać, spacerować, śpiewać, bawić się i rozmawiać, nie stając się ani łowcą, ani ofiarą, i nie szydząc z siebie nawzajem. A teraz bywajcie zdrowi. I nie zapomnijcie. Nawet kiedy wyrosiecie i będziecie dorośli, może nawet zostanieie rodzicami, nie zapominajcie. Spokojnej nocy, Maju i Mati. Śpijcie dobrze.

Kiedy w lesie zapadł zmrok, a dzieci zeszły z góry i trzymając się za ręce, przybliżyły się do świateł wioski, Mati powiedział do Mai:

– Trzeba opowiedzieć o tym Almonowi. I pani Emanueli. Musimy też powiedzieć Danirowi.

– Nie tylko im, Mati – odparła Maja. – Będziemy musieli opowiedzieć wszystkim. Mojej mamie. Starszym wioski. Twoim rodzicom. To nie będzie łatwe.

A Mati na to:

– Jeszcze powiedzą o nas, żeśmy się zarazili rżycą.

– Trzeba też będzie odnaleźć Nimiego – dodała Maja. –

I sprowadzić go z powrotem.

– Jutro – rzekł Mati.



Arad, sierpień 2004

Wypożyczalnia

Nr. 43
52458